



ZESZYT SZÓSTY.

ROCZNIK SZÓSTY.

SZCZĘŚCIE KOBIECĘ.

POWIEŚĆ

JANA ZACHARIASIEWICZA.

(C I A G D A L S Z Y)

Po pierwszym odpływie tego gniewu, który nie wiedzieć z jakiego wypłynął źródła, Adelaida spokojnie zastanowiła się nad sobą. Najprzód nie umiała sobie wytłumaczyć tego gniewu.

— Zkąd mi się wziął ten gniew? — mówiła do siebie — przecież w Edmundzie się nie kocham, przecież wyraźnie mu powiedziałam, że żadnej nie może sobie robić nadziei!.. Nigdy go nie kochałam, nawet nie marzyłam o tem... dlaczegoż mam Oldze brać za złe jej zachowanie się, jakby była moją rywalką?.. Dla czegoż tak boleśnie bije mi serce, jeżeli pomyślę nad tem?.. Nie, tego nie pojmuję, to jest coś chorobliwego we mnie. Być może, że za mało spałam tej nocy, a wczoraj piłam zbyt mocną herbatę. Nie może być nic innego. Wszak żadnego rozsądnego powodu nie mam do gniewu, do tego przykrego uczucia, jakiego doznaję... A zresztą o cóż się niepokoję? Czyż to wszystko jest już prawdą, co mi się wydaje? Czy Olga rzeczywiście przyciągnęła do siebie Edmunda, czy to tylko jest pozór błahy? Cóż ztąd wynika, że czasem słucha, gdy gra, lub patrzy, gdy maluje? Może to być tylko prosta ciekawość, lub zwykła grzeczność, a Edmund jest tak dobrze wychowany, tak jest zawsze grzeczny i uprzejmy nawet dla starej klucznicy! Nie, to być nie może, to tylko

mi się przywidziało. A zresztą gdyby nawet i tak było, gdyby Edmund rzeczywiście upodobał sobie Olę, (co jednak żadnych poważniejszych skutków mieć nie może), gdyby rzeczywiście czuł dla niej jakąś przelotną skłonność, cóż to mnie tak bardzo może obchodzić? Czegoż to ma mnie rozdrażniać i dla Olgi źle usposabiać?

Po tym monologu rozśmiała się Adelaida i zanuciła wesołą piosnkę. Olga, która w drugim pokoju malowała, zawtórzyła jej, i zrobił się z tego przesłiczny duet, w którym dwa dźwięczne głosy razem się zlały, jakby wychodziły z jednej duszy, z jednego serca.

Spiewając zbliżyła się Adelaida do Olgi i położyła rękę na jej ramieniu. Olga odłożyła na bok paletę, wykręciła do niej głowę i podała jej swoje piękne, różowe usta, które Adelaida szczerze i gorąco ucałowała.

Nie wiedziała Olga, że ten pocałunek był wynagrodzeniem za krzywdę, którą jej przed chwilą wyrządziła towarzyszka życia.

Mimo jednak tego gorącego pocałunku, mimo wszelkich sofizmatów, na jakie wysilała się Adelaida, zaszła w jej usposobieniu dosyć widoczna zmiana.

Przedtem nigdy nie miała ochoty grać na cytrze. Teraz okazała wielką skłonność do tej cichej, melanco-

lijnej gry, i prosiła Olgi, aby ją niektórych melodyj nauczyła. A były to te same molodye, których najczęściej słuchał Edmund.

Po cytrze zapragnęła także wrócić do malowania, chociaż ten talent już dawno zaniedbała. Olga musiała także i w tem jej dopomódz. Wspólnemi siłami ustawiono sztelugę w gabineciku Adelaidy, i urządzono stosownie do tego duże okno pałacowe, zasłoniwszy je do połowy z dołu. Adelaida przyrzędziła sobie do tego zatrudnienia stosowny kostium, w którym było jej bardzo do twarzy.

Grała więc na cytrze i malowała jak Olga. Mimo to już w pierwszych tygodniach nie była z tego zadowolona. Czy talent jej nie dopisywał, czy cytra inaczej odzywała się pod palcami Olgi, czy farby inaczej układały się na obrazie towarzyszki, dosyć, że po wielu próbach poczęła znowu coraz więcej zaniedbywać te talenta.

Zdaje się, że powodem do tego był znowu Edmund. Gra bowiem Adelaidy na cytrze i jej pozowanie na artystkę przy sztelugach nie sprawiło na nim pożądanego wrażenia. Widocznie więcej rad przebywał przy Oldze, gdy grała lub malowała, niżeli przy Adelaidzie, gdy to samo robiła.

Adelaida czuła, że Edmund przestał ją adorować i zajęty był teraz Olgą. Dla Olgi chodził do pałacu, a ona była tylko pozorem, jakoby odwiedzał krewnych. Nanowo wzbudził się gniew w jej sercu, a wzbudził się z daleko większym impetem niżeli pierwej.

O co jej właściwie chodziło, nie wiedziała sama, ale czuła całym sercem, że to ją gniewa i oburza.

W tym gniewie stała się podejrzliwą i zaczęła Olgę śledzić.

Olga wydała jej się teraz jakąś inną. Była zawsze rozpromieniona, śpiewała często i śpiewała tak czystym i śmiałym głosem, jakiego dawniej nie miała. Była nieraz wesołą aż do roztrzepania, a wśród wesołości stawały jej nagle łzy w oczach, co dla kobiecego serca Adelaidy stanowiły dowód nie zbity, że w duszy Olgi odbywa się coś nadzwyczajnego.

W celu pochwycenia czegoś okiem, siadywała Adelaida na kozetce niby w książce zaczytana, podczas gdy Edmund z Olgą rozmawiał. Jej oczy wybiegały często ponad brzegi książki, a chociaż rozmowa dwojga zakochanych miała zawsze granice wszelkiej przyzwoitości, mogła Adelaida wiele dojrzeć, co ją mocno niepokoiło.

Często udawała zmęczenie i wołała w altanie, dzikiem winem obrosłej, pozostać, niżeli towarzyszyć Edmundowi i Oldze w przechadzce. Czyniła to dlatego, aby zakryta liściem winogrodu mogła lepiej śledzić rozmawiających i przechadzających się po szerokiej alei.

Takie drobne podstępki rozdrażniały ją coraz więcej. Widziała, jak się oboje do siebie nachylali, jak sobie podawali kwiatki, jak przy tem podawaniu (tak się jej wy-

dawało) ścisnęły się ich ręce, a nawet raz coś zaszło między nimi, czego sobie wytłumaczyć nie mogła. Olga odsunęła się nabok i drobną rączkę podniosła do góry, jakby grozić chciała, a Edmund tak wyglądał pokornie, jakby błagał o przebaczenie.

Takie spostrzeżenia nie dawały jej pokoju, i burzyły krew dawniej tak spokojną. Nie mogła sypiać po nocach, straciła apetyt, stała się małowonną i opryskliwą, a nawet po dwóch tygodniach znacznie zeszczipłała i zbladła.

Tysiąc razy na dzień pytała siebie, dla czego to się dzieje, dla czego wogóle tyle interesuje się tą sprawą, osób trzech?.. ale nigdy nie mogła sobie dostatecznie na to odpowiedzieć.

Wreszcie nieśmiało zbliżyła się do swego serca i zapytała pocichu: Może ja go kocham?

— Nie, to być nie może — odpowiadała prędko, jakby się lękała pozostać mu dłużną odpowiedzi — nie, to być nie może, w żaden sposób nie może!..

Ale raz zapytane serce, powtarzało ustawicznie jedną i to samą odpowiedź, chociaż go już wcale nie pytano. A odpowiedź była jakaś dziwna, napół rokoszna, napół bolesna.

— Miałabym go rzeczywiście kochać? — pytała znowu, i znowu zaprzeczała jak najuroczyściej.

Nikt nie spostrzegł walki, jaką obecnie toczyła z sobą Adelaida. Była to walka Adelaidy, urodzonej z Taidy Anuncyaty***, ze zwykłą kobietą. Zwykła kobieta domagała się czegoś od niej, czego Adelaida jej dać nie mogła.

Walka z każdym dniem stawała się boleśniejszą, w końcu doszła do takich rozmiarów, że Adelaida zdawała się ustępować miejsca zwykłej kobiecie.

Ale to miejsce zajęła inna kobieta. Trzeba więc było naprawić złe, co się zrobiło, i zajęte stanowisko napowrót zająć.

Adelaida zdecydowała się po kilku nocach bezsennych to zrobić. Miała skuteczną broń do tego, i tej broni postanowiła użyć. Wytłumaczyła sobie, że przytem nic złego nie robi, gdyż bierze tylko w posiadanie to, co dawniej już do niej należało, a co jej tylko odebrano podstępem. Była to więc tylko rewindykacja, a nic więcej.

Pewnego dnia, w którym słońce okryte szarą mgłą nie tak bardzo gorącym dokuczało, przyjechał Edmund wcześniej, niżeli zwykle, i wprost o pana Alberta zapytał.

Było w tem zapytaniu coś wyjątkowego. Edmund bowiem miał zwyczaj pytać się najprzód o panie, gdyż pan Albert, ślęczący nad starymi obrazami, uważany był powszechnie za zero.

Adelaida stała w otwartym oknie i słyszała to zapytanie. Poczwała jakąś obawę, bo to zapytanie obiecywało jej coś nadzwyczajnego.

— Na cóż mu mego ojca, jeżeli dotąd nigdy go nie potrzebował? — zapytała siebie, a serce jej ścisnęło się przeczuciem.

Przytomna w każdej sytuacji uznała Adelaidę, że tu nie ma czasu do tracenia. Jeżeli jest jakie niebezpieczeństwo, to trzeba szybko przeciw niemu wystąpić.

Zarzuciła lekką, przezroczystą chustkę na białe ramiona, które z pod osłony wyglądały jeszcze zalotniej, i zbiegła drobnym krokiem po kamiennych schodach.

— Ach! chér cousin! — zagadnęła, jakby go dopiero obaczyła — z jakąż dobrą nowiną tak wcześnie?

— Mam interes do pana Alberta — sucho odpowiedział Edmund.

— Przepraszam cię, kochany Edmundzie, ale teraz widzieć ojca nie możesz, aż za małą pół... godzinę. Tymczasem może przejdziemy się po ogrodzie; właśnie chciałam tam iść, bo dzień jest łagodny i słońce nie pali.

Edmund zgodził się na propozycję Adelaidy, ale nie okazał przytem żadnego żywszego wzruszenia. Białe, przezroczyste chustką przysłonię ramiona zarumieniły się z powodu przegranej. Edmund nawet na nie nie spojrzał.

Adelaida szybkim krokiem wyprzedziła Edmunda i pobięła najkrótszą ścieżką do ogrodu. Edmund z wolna postępował za nią.

Gdy się przed altaną oboje razem złączyli, zaproponowała Adelaida wypoczynek w altanie.

Była to jedna z tych dawnych altan powieściowych, w których zazwyczaj odgrywają się sentymentalne sceny pomiędzy zakochanymi. Gęste liście winogrodu przysłaniały znajdujących się wewnątrz od widoku świata, a romantyczne półświatło dodawało niespodzianych wdzięków każdej choćby najpospolitszej twarzy.

Tego wszystkiego nie potrzebowała Adelaida. Była dzisiaj w dziwnym rozdrażnieniu, a to rozdrażnienie podwyższało tylko jej wdzięki. Ciemne oczy błyszczały jak pochodnie, twarz blada ożywiła się zachwycającym rumieńcem.

— Od niejakiego czasu — zaczęła z długim wejrzeniem — jesteś, kochany Edmundzie, podobny do człowieka, który w głowie waży ciężkie myśli. Czy to prawda?

Wzięła go za rękę i zatrzymała ją.

— Odgadłaś, kochana sestro — odpowiedział Edmund spokojnie.

— Czyż nie podzielisz ich ze mną? — zapytała z uśmiechem czarującym, któremu również towarzyszył ruch ramion białych. — Czyż dla kochającej Adeli masz tajemnicę?

— Tajemnic mam wiele — spokojnie mówił Edmund — ale te przedewszystkiem nie do mnie należą. Nie mogę więc z nich nic ci udzielić, chociażby to wielką ulgę sprawiło sercu memu, gdybym miał takiego powiernika.

Adelaida podniosła białą rękę i położyła ją na ramieniu Edmunda. Twarz jej zbliżyła się do jego twarzy.

— Mówisz, że nie masz powiernika — mówiła głosem dziwnie wibrującym — czyś zapomniał o naszej rozmowie pierwszego dnia na balkonie? Czyż nie zwierzyłam się wtedy tobie z wszystkiego, a cóż w zamian dostałam?

Oczy Adelaidy padały głęboko w duszę Edmunda.

— Niczego odemnie nie chciałaś! — krótko odpowiedział Edmund.

— Przecież kobieta bierze tylko to, co się daje, ale sama nie narzuca się, nie żąda, nie pragnie!... Zdziczałeś od niejakiego czasu, trzeba, aby ktoś — otrzymał władzę nad tobą!

— Właśnie myślę o tem, aby komu część mojej udzielnosci ustąpić.

— Zazdroszczę tej osobie.. o gdybym nią sama być mogła!

— Musi ona w każdym razie do ciebie być tak podobną, jakbyście razem się chowały.

Białe czoło Adelaidy przebiegła lekka chmurka.

— Jeżeli tak — odrzekła szybko — to bardzo łatwo skreślę ci jej konterfekt! Czy ją poznasz?

— Czekam!

— Najprzód musi to być osoba wysoko ukształcona, subtelnych uczuć, aby umiała poznać i ocenić to, co stanowi prawdziwy smak prawdziwej damy wielkiego świata!

Edmund uśmiechnął się i kiwnął głową. Adelaida mówiła dalej:

— Zabierając ci całą przyszłość twoją, powinna ci wnieść swoją przeszłość nieskazitelną, w której ani ty nie dojrzałyś plamki, ani twoi nieprzyjaciele.

— Nie rozumiem, co nazywasz przeszłością kobiety?

— Wszystko, co się do niej odnosi. Życie, urodzenie, wypadki familijne, koligacje, stosunki rodzinne...

— Któżby dzisiaj wybór tak sobie utrudniał?

— Przecież nie chciałbyś zapomnieć, coś winien sobie, coś winien nazwisku, które nosisz?

— Cóż ztąd wypływa?

— Ztąd wypływa, że wybór twój może tylko paść na osobę, której stanowisko w hierarchii społeczeństwa równa się przynajmniej twemu. Inaczej wykroczyłbyś przeciw sobie i całej familii.

Edmund poczerwieniał na twarzy.

— Zostawim ci twoje wyobrażenia — odparł z goryczą — ale pozwól mi, że ja mogę mieć inne. Najbliższy czas pogruchoce nam te zabawki dziecinne, a tymczasem chciałbym wszystkie herby i klejnoty rodzinne sprzedać za kilka chwil prawdziwego szczęścia!

Adelaida zbladła i zacisnęła usta.

W tej chwili z poza klombu róż i nasturcyj wychyliła się Olga i w zgrabnych podskokach zbliżyła się do nich z jakąś piosnką na ustach.

Na jej widok pokraśniał Edmund, a oczy jego zagrały dziwnym ogniem. Odwrócił się od Adelaidy i postąpił kilka kroków ku ścieżce, którą zbliżyła się Olga.

Przy Oldze zapomniał o panu Albercie, a gdy sobie po dwóch godzinach przypomniał, odpowiedział Anatol, przysłany przez Adelaidę, że hrabia jest trochę cierpiący i bardzo pięknie przeprasza.

Pan Albert rzeczywiście idąc za zdaniem Adelaidy, która twierdziła, że jest chory, położył się do łóżka.

ROZDZIAŁ VIII.

Na drugi dzień zajęła na dziedzińcu pałacowy czterokonna karetą z herbami na drzwiczkach. Na wysokim koźle siedział strzelec w podróżnym mundurze, obok stanęła greta w sutej liberyi.

Stary Anatol pospieszył jak mógł najprędzej, aby znakomitemu gościowi drzwiczki otworzyć. Adelaida usłyszawszy turkot powozu, zbliżyła się do okna.

Z karety wysiadł niewielki człowiek, w podróżnej jedwabnej czapeczce, utykając na jedną nogę. Powoli wsparł się na barkach strzelca i Anatola i wszedł na schody. Adelaidzie wydało się, że był garbaty.

Gdy Anatol zadyszany kartę wizytową przyniósł, wyczytała na niej Adelaida nazwisko dalekiego sąsiada, który prawie nigdy w kraju nie mieszkał. Nazwisko to należało do rodu, sięgającego wyżyn społeczeństwa.

Adelaida uprzedziła ojca, który właśnie jakiś obraz przemywał, a nim staruszek gąbkę na bok odłożył zdołał, stał już gość przed nim, wyciągając do niego rękę.

Adelaida mogła mu się teraz dobrze przypatrzeć. Był to człowiek sporo nie młody. Mógł liczyć około lat sześćdziesięciu, albo przynajmniej tak wyglądał. Resztki płowych włosów, o których nie można było wiedzieć, czy były siwe, czy taki naturalny miały kolor, okrążały wąskim paskiem wypukłą łysinę, na której ostro odznaczały się spojenia czaszki. Takiegoż koloru wąsy i znacznie już siwe faworyty okazywały, że był zwolennikiem mody angielskiej. Twarz nie miała żadnej barwy, podobna do włosów, pomarszczona była w liczne zmarszczki. Mimo to miała wyraz przyjemny i cechowała człowieka, który miał ładne wykształcenie i spory zasób inteligencji. Nie był co się zowie garbatym, jak to z góry wydało się Adelaidzie, ale miał jedną łopatkę wyższą, wskutek czego prawe ramię było także podwyższone. Niestosowny do figury długi tułów opierał się na cienkich, małych nóżkach, którym osobno nie można było odmówić ładnych kształtów. Na jedną nogę utykał.

Pan Albert przywitał z dworską etykietą znakomitego gościa, którego córce nazwał hrabią Wojciechem.

Pan Wojciech wydobył złotą lornetkę, przypatrzył się Adelaidzie i niektórym obrazom, mówił trochę z Adelaidą i panem Albertem o sztuce, o galerii drezdeńskiej, coś o drodze niewygodnej i pogodzie, a zakończył Wiedniem, gdzie dłuższy czas teraz przybywał.

Gdy służba pałacu, takim nadzwyczajnym wypadkiem wystraszona, napowrót do spokojnych legowisk swoich powróciła, obejrzał się pan Wojciech ostrożnie naokoło i ozwał się do pana Alberta:

— Pozwolisz, panie Albercie, że pomówię z tobą o ważnej rzeczy, nie mamy bowiem wiele czasu do stracenia.

Pan Albert wyprostował się i ciekawie spojrzął na gościa. Był pewny, że tenże przynosi mu wiadomość o nowo odkrytym Rubensie lub Rafaelu.

Adelaida podniosła się, aby rozmawiających zostawić sam na sam. Pan Wojciech jednak łagodnie przytrzymał ją za rękę.

— Zostań pani z nami, być może, że zażądamy od niej pomocy — rzekł do niej z uśmiechem światowego człowieka.

Adelaida została; ogarnęło ją dziwne uczucie. Pan Wojciech odczyścił należycie lornetkę i zaczął:

— Wiem, kochany sąsiedzie, że żyjesz tutaj zajęty sztuką, i prawdopodobnie nie wiesz, co się wkoło ciebie dzieje.

Adelaida zarumieniła się i wstrzymała oddech. Sądziła, że to coś będzie do Olgi się odnosić. Ale pan Wojciech prędko wyprowadził ją z błędu.

— Piękną jesteś, pani, z tym rumieńcem, jak archanioł Gabryel — rzekł z galanterią — ale bez tego rumieńca możesz pani także panować nad nami, jak nad swymi niewolnikami. Zaręczam pani, że rozmową moją nie dotknę bynajmniej owych srebrnych nitek serca kobiecego, o których mówią, że wydają tylko wtedy czarowne dźwięki, gdy się do nich żadna obca ręka nie zbliża. Bądź pani spokojną.

Adelaida odpowiedziała coś w swojej obronie, a pan Wojciech mówił dalej zwrócony do pana Alberta:

— Zapewne panu nie wiadomo, że od niejakiego czasu szerzy się w kraju ruch, o którym dzisiaj nic pewnego powiedzieć nie można.

Pan Albert szeroko otworzył oczy, aby pana Wojciecha lepiej rozumieć. I Adelaida okazywała niezwykłą ciekawość, bo jeszcze nie pozbyła się swego przeczucia.

— Trudno z pewnością orzeknąć — mówił dalej pan Wojciech — kto ten ruch wywołał, ale wiemy mniej więcej, kto go podtrzymuje. Wprawdzie nie rzucam ja tutaj na nikogo kamieniem. Być może, że pewni ludzie w błędach swoich mają motywa szlachetne; być może, że mając jakiś dobry cel przed oczyma, nie widzą, że dążą wprost do czegoś przeciwnego, bo w takich rzeczach największą rolę odgrywa — złudzenie. Ale bądź co bądź, fale tego ruchu otaczają nas coraz więcej, ściskają nas i zmuszają albo do walki odpornej albo do poddania się im...

W obszernej komnacie była teraz cisza grobowa. Pan Albert poraz pierwszy usłyszał, że coś wkoło niego się dzieje, o czem mu się ani śniło. Adelaida wzdrygnęła się, bo niektóre ciemne słowa Edmunda stanęły jej teraz jasno przed oczyma.

— Czyż mianoby na kraj nowe nieszczęście sprowadzać? — zapytała z ciężkiem westchnieniem. — Któż są ci ludzie,

którzy ster wypadków biorą w swoje ręce? Czy zna ich historia i karty Rzeczypospolitej?

— Otóż złote słowa powiedziałaś pani — odpowiedział pan Wojciech — całe nasze nieszczęście, że podobne roboty robią się pociemku, a my głównych robotników nie widzimy! Że do podobnej roboty wśród ciemności przymiesza się nie jedna nieczysta ręka, o tem wątpić nie można, a za to wszystko my odpowiadać musimy.

— W takim razie musiałbym moją galeryą może do Wiednia wysłać? — wtrącił ze smutkiem pan Albert.

Pan Wojciech spojrzął po lichych płótnach, rozwieszonych po ścianach, i uśmiechnął się ironicznie.

— Zdaje się, że do takiej ostateczności nie przyjdzie — odparł z łagodnym uśmiechem — ale zawsze trzeba myśleć o gorszym, aby nas złe nieprzygotowanych nie zaskoczyło.

— Masz słuszność, kochany sąsiedzie — odpowiedział pan Albert — w każdym razie każę obrazy włożyć do pak i starannie pozabijać, aby na pierwszy znak niebezpieczeństwa można je do Wiednia lub do Węgier wyprawić.

Na twarzy pana Wojciecha malowało się nieznaczne politowanie.. Spojrzała to Adelaida.

— Mój ojciec jest niezmiernie przywiązany do swoich obrazów — rzekła z błagalnym wejrzeniem — o nich śni i marzy w nocy, a we dnie rozkoszuje patrząc na nie.

— Jeszcze raz powiadam — odpowiedział pan Wojciech — że rzeczy prawdopodobnie tak daleko nie zajdą, chociaż ostrożność nie zawadzi. Przedewszystkiem trzeba ten ruch, który się obecnie odbywa, mieć na oku.

— Możeby posłać o tem wiadomość do naczelnika obwodu? — wtrącił nawiasem pan Albert, patrząc żałośnie po swoich obrazach.

— Zdaje się — odparł szybko pan Wojciech z lekkim zmarszczeniem czoła — że władza wie lepiej od nas o wszystkim. Jej zadanie jest inne, a nasze inne. Ona może tylko karać winnych, a naszym obowiązkiem jest nawracać winnych na drogę rozsądku wtedy, gdy władza ich jeszcze dosięgnąć nie może...

— Cóż poradzimy, jeśli nic nie wiemy? — zapytał pan Albert.

— Mogę sub secreto udzielić panu wiadomości, że w najbliższem sąsiedztwie... liczącem się do rodziny...

— Edmund! — wyszeptała naraz ojciec i córka, i obejrżeli się z trwogą po obszernej komnacie.

— Pst! — dodał pan Wojciech i położył palec na ustach. Długi czas trwało grobowe milczenie.

— Zkąd jemu przyszło mieszać się do demagogów! — ozwał się w pocie czoła pan Albert — takiego rodzaju i pochodzenia!

Adelaida odetchnęła pełną piersią, bo właśnie w tej chwili wiadomość o Edmundzie związała ze swoją myślą, która ją dzisiaj tak bardzo niepokoiła.

— Można to sobie wytłumaczyć — powoli ciągnął pan Wojciech — historia każdego przewrotu w społeczeństwie wyświeca to jasno. Są w najwyższych warstwach każdego społeczeństwa ludzie, którzy dla tytułów swoich nie mają podstawy materyjalnej, jednym słowem, zubożeni. Ci ludzie szukają jakiejś karyery i czepiają się wszystkiego, coby ich znowu na wierzch wynieść mogło. Ponieważ zaś stare, historyczne imiona w warstwach niższych nigdy, a nawet i podczas przewrotu, swego uroku nie tracą, więc nic łatwiejszego ludziom owych nazwisk, jak dostać do ręki sterownictwo i rangę naczelników. Każda historia przewrotów społecznych liczy wiele takich nazwisk, które potem figurują na wysokich posadach nowego porządku rzeczy. Ta jest tajemnica, że ludzie odmiennych zasad przechodzą do przeciwnego sobie obozu i przyjmują jego godła za swoje.

— Czyżby to być mogło? — zauważała Adelaida w głębokim zamyśleniu.

— Jeżeli ktoś coś chce zrobić koniecznie — odpowiedział pan Wojciech — to nigdy nie przedstawi mu się ono tak jaskrawo, jak innym. Znajdzie w sobie dogodny motyw, i będzie wobec własnego sumienia tak czystym, jak biały, wielkanocny baranek z masła.

— Czyżby Edmund w samej rzeczy? — podjęła znowu Adelaida.

— Edmund prawdopodobnie mniema teraz o sobie, że jest bohaterem najczystszej wody, bo może nie widzieć w gruncie rzeczy prawdziwych motywów.

— On nie byłby zdolnym do tego.

— Faktem jednak jest, że otoczyli go ludzie, którzy wyzyskują jego pozycję i nazwisko dla swoich założonych celów.

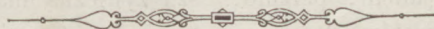
— Nigdybym nie uwierzyła...

— Widziałem ja podobnych jemu ludzi, którzy, aby przypodobać się nowym swoim sojusznikom, żenili się z szwaczkami lub kochankami, wypierając się tym sposobem krwi swojej.

Adelaida pobladła. Ostatnie słowa pana Wojciecha zbudziły w jej głowie dawne myśli i obawy, nadając im jeszcze więcej prawdopodobieństwa.

— Czy sądzisz Adelo — rzekł ojciec po odejściu gościa do zamyślanej córki — czy sądzisz, że w tych pakach drezdeńskich zmieszczę wszystkie moje obrazy?... Widzę, że o tem myślisz!...

(Ciąg dalszy nastąpi).



W ALBUMIE

HRABIANKI A. K.

Dziewczę, pójdź do mnie — ty jasnowłosa!
Daj mi rączynę, nie żałuj przecie!
Niech w oczach twoich spojrzę niebiosą,
A wnet zapomnę o całym świecie.
O czarodziejko! ty gdzieś z obrazu
Wielkiego mistrza pewno uciekła,
By znów cierpienia i żądze piekła
Zapalać nawet i w sercu z głazu!

Słuchaj, jam przeszedł dziwne koleje,
Przecierpiał wiele, wyziął z tęsknoty...
Lecz na twych włosów gdy patrzę sploty.
Jakiś mię ogień szatański grzeje!
Łamałem serce trudem i wolą,
Chciałem się pozbyć zwątpień godziny,
Co jak złamanej końce sprężyny,
Skoro naciśniesz, to zawsze kołą!
I jużem przecież nie cierpiał więcej...
Myśl — jako sztylet ostrzyłem nagi;
Do życiam nabrał woli, odwagi,
Wiarym odzyskał pół niemowlęcej...
— Pocóż mi znowu zachodzisz drogę,
Wabisz uśmiechem?.. pewno znów zdrada!
A jednak sił mych zebrać nie mogę,
I sztandar woli z rąk mi upada...
Z tobą, nieszczęsny! cóż ja dziś pocznę?
Jakieś mi mary dziwne, obłoczne
Nowym strumieniem płyną do głowy:
Serce mię boli, i skroń mię pali,
Jak ukąszenie zdradzieckiej stali,

Albo jak zwiędły bukiet godowy.
Miej litość! ust twych słodkich korale
Do zmarszczonego przytul mi czoła,
Białą rączyną szyję dokoła
Otocz — i patrz mi w oczy zuchwale.

Niech mię oddech twój ożywi,
Niech usłyszę serca bicie:
Inna nuta, inne życie,
I rym inny wszystkich zdziwi!
Ja ci myśli me pajęcze,
Moich marzeń barwną tęczę
Znów roztoczę przed oczyma!
Dam ci perły uczuć czyste,
I brylanty płomieniste
Wydobędę z sakw pielgrzyma.
Tylko pieść mię, pieść i żałuj,
Ciśń do serca, skroń mi całuj;
Niech roskoszy jedna chwila —
Długie cierpień wynagrodzi!
Udaj miłość!... cóż ci szkodzi?
Przecież skrzydła masz motyla!
Będiesz mogła znów odlecić,
Znowu zwodzić, wabić, świecić!
Lecz dziś — niechaj się omamię,
Niech oszukam, niech okłamię,
Żeś kochała jedną chwilę,
Choć tak krótką jak motyle!

KAROL ŚWIDZIŃSKI.

Przekształcenia owadów, zmyślność ich i miłość macierzyńska.

(Dokończenie)

Gdy nieprzyjaciel mały niebezpieczny zbliży się do ula pszczół, pierwsze warty, które go dostrzegą, przebijają go swemi żądlami, i w jednej chwili zrzucają trupa z ula; praca innych nie wstrzymuje się. Lecz jeżeli napada silny i ciężki ślimak, obrona odbywa się inaczej. Wczyyna się wrzawa między pracującymi, wszystkie pszczoły gotują swe żądla, i latając okóło napastnika przebijają go swemi grotami. Oblężony, atakowany ze wszystkich stron, nieustannie otrzymując nowe rany, otruty jadem, pełźnie, ucieka i ginie wśród konwulsyjnych skrętów. Lecz co

robić z takim ciężkim nieprzyjacielem? Małe nóżki całego ludku, mieszkającego w ulu, nie są w stanie poruszyć trupa i wypchnąć go przez wązki otwór z ula, do którego się dostał. Rozkład zaś ciała może zatruć całkiem powietrze w ulu i być przyczyną choroby jej mieszkańców. Rzeczpospolita namyśla się i decyduje zabalsamować zmarłego nieprzyjaciela, którego ciało gnijące zagraża ich państwu. Pszczołki robocze rozlatują się na wszystkie strony i znoszą żywiczną materiją, która skleja pączki. Tą materiją pszczoły otaczają ciało zmarłego ślimaka i zachowują go

od gnicia, jak niegdyś Egipcyanie zachowywali od zniszczenia szczątki swych zmarłych. Jakżeż tu odmówić owadom sądu, wyboru i namysłu, które charakteryzują rozum? W akcie tym, nieraz już spostrzeganym, owad objawia więcej niż zmyślność, która nie wypływa ani z naśladowania, ani z doświadczenia, tylko jedynie może być wrodzoną.

Też same pszczoły wykazują tyleż sztuki i przebiegłości w innym wypadku. Jeżeli zamiast miękkiego ślimaka, którego zranić tak łatwo, wkradnie się do ula ślimak w skorupie, pszczoły postępują w inny sposób. Zaatakowany mięczak chowa się do skorupy i otwór jej przytula do ula, a tym sposobem zabezpiecza się zupełnie od ukąszenia nieprzyjaciół. Pszczoły nie mogąc zabić nieprzejaciela, więżą go na miejscu. Robocze pszczołki okładają skorupkę grubą warstwą żywicy, która przymocowuje ją zupełnie do ściany ula, i ślimak musi umrzeć w swoim ukryciu, bo wszelki ruch, wszelka ucieczka stała się dlań niemożliwą. Reaumur pierwszy, badając pszczoły w szklannym ulu spostrzegł ślimaka, który nieostroźnie wpełzł do środka, uwięzionego w podobny sposób.

Lecz żaden akt zmyślności owadów nie może dorównać zmyślności pszczoł, które sobie tworzą królowę, gdy ją rój przypadkiem utraci. Przez szczególną anomalią u tych owadów samki, chociaż więcej delikatne, pełnią wszystkie prace; samce zaś nic nie robią. Lecz samki te nie posiadają przymiotów rodzajowych, i są właściwie bezpłciowe, w skutek powstrzymania rozwoju przed ostatnią przemianą. Otóż gdy królowa zginie przypadkiem, bezpłciowe czyli robocze pszczoły umieją utworzyć sobie nową. Na jednym z brzegów plastru pszczoły psują kilkanaście zwyczajnych komórek, tworząc w ich miejscu królewską, około czterdziestu razy większą od innych. Potem umieszczają w niej zwykłą gąsienicę i dostarczają jej słodkiego, pachnącego pokarmu, jaki się dawać zwykł gąsienicy przeznaczonej na matkę. Pod wpływem pokarmu i większego obszaru dla rozwoju gąsienica staje się samką i królową. Młoda królowa, dopóki w komorze swej zostaje, nie niesie jaj. Skoro jednak pogodny dzień nadejdzie, wylatuje z ula i wzbija się wraz z trutniami do wysokości takiej, że jej okiem dojrzeć nie można; wkrótce atoli nazad do komórki powraca, gdzie w 46 godzin poczyna nieść jaja, składając każde w komórkę osobną. Pierwszego lata ilość tych jaj niewielka, i obejmuje same tylko pszczoły robocze; zimą całkiem nieść przestaje, natomiast z następującą wiosną płodność jej do tego stopnia dochodzi, że w przeciągu trzech godzin przeszło 12,000 jaj znosi. Czy fakt ten zmiany gąsienicy roboczej na gąsienicę królewską nie jest także dowodem pewnej znajomości ustroju swego i umiejętności przekształcania jego?

Miłość macierzyńska pobudza do spełniania prawdziwie herkulesowych prac. Pod wpływem tej miłości owad

okazuje niesłychaną wytrwałość, niepojętą siłę. Linneusz widział Gieza (*Oestreos*), jedną z tych much, która napada na wielkie zwierzęta, pędzącą cały dzień rena w galop ciągnącego saneczki po śniegu. Mucha ciągle leciała około jego boku, oczekując chwili, w której mogłaby złożyć jedno z jaj swoich pod skórę zwierzęcia.

Te tak drobne żyjątka zadziwiają nas siłą swego macierzyńskiego przywiązania. Niektóre motylki, dla ochronienia potomstwa od burz i niepogody, okrywają je włoskami, wyrwanymi z własnego ciała; po spełnieniu tego aktu poświęcenia owad umiera. Tak postępuje groza naszych sosnowych lasów, *Liparis dispar*, którego gniazdo składa się z podwójnej ochrony: z delikatnego puszkę, na którym leżą jaja, i który je pokrywa, i z zewnętrznej warstwy utworzonej z włosków splecionych tak, że tworzą nieprzemakającą tkaninę. W ten sposób jaja są podwójnie zabezpieczone i od zimna i od deszczu.

Biedronki (*Koszenille*), jeszcze więcej przywiązane do swego potomstwa, poświęcają się dobrowolnie dla dobra jego. W miarę, jak owad nadzwyczajnie wydepty niesie jaja, składa je pod sobą w kupkę. Po zniesieniu ciała matki wygląda jak przezroczysty pęcherzyk, którym ona okrywa płód swój; owad przymocowuje brzegi swego ciała naokoło jaj i umiera natychmiast, tworząc kopułę, dach mocny, który chroni jaja od deszczu i zimna. Matka życiem swem płaci za życie potomstwa, i pod jej trupem rozwija się młode pokolenie.

Niektóre owady, kierowane przezrocznością macierzyńską, zamiast poświęcić siebie, zabijają inne zwierzątka na pokarm przyszłego zgłodniałego pokolenia. Każdy rodzaj wymaga szczególnego pokarmu, więc rodzice muszą używać różnych sposobów, żeby pokarm ten przygotować.

Żyjące stworzenia są koniecznie potrzebne niektórym gąsienicom w chwili ich urodzenia, a ponieważ matka nie może ich uwięzić około kolebki swych dzieci, zatruwa je. Lecz trucizny, którą zadaje, wlewa tylko tyle, żeby uspić lub sparaliżować swą zdobycz; tym sposobem młoda gąsienica, wychodząc z jaja, znajduje obok siebie umierające stworzenie, które dobija i zjada. Tak postępują *Sphexy*. Mucha składa jedno ze swych jaj w mały otwór, który robi w ziemi, potem szuka pająka jakiego lub gąsienicę, które zgrabnie ukłuszy paraliżuje i odnosi do gniazda swego; tam ułożywszy zdobycz swą nad jajem, mucha zakrywa otwór kamykiem i odlatuje spokojna o przyszłość swego dziecka.

Niektóre ichneumony czyli brzęczące muchy są i więcej drapieżne i więcej odważne. Matka napada na wielkie gąsienice, przebija ich skórę i kładzie pod nią swe jaja, a gdy młode rozwiną się, zaczynają zjadać z początku tłuszcz, a potem i mięśnie ich karmicielki, która zdycha nakoniec, a młode gąsieniczki wylazą przez liczne otwory, utworzone w jej skórce, i zawijają się

w oprzęd, przyczepiwszy go do trupa. Te poczwarki, obwinięte w jedwabny całun, są tak liczne, że często zupełnie zakrywają swoją ofiarę.

Żuk poświętnik, sławny czcią, którą od dawnych Egipcyan odbierał, spełnia także wielką pracę dla zabezpieczenia swego potomstwa. Ten chrząszcz, znany wszystkim, skoro zniesie jaje, szuka gnoju trawojadnego zwierzęcia, oddziela kawałek i starannie umieszcza jaje swe w jego środku. Następnie tworzy okrągłą gałeczkę, która co do wielkości przechodzi wielkość jego ciała. Gdy kulka już ukończona, owad chwyta ją tylnymi, długimi nóżkami i ciągnie za sobą. Trąc się o piasek i ziemię, kulka z początku miękka, staje się twardą i gładką na powierzchni. Żuk ciągnie dalej swą pracę z wytrwałością niesłychaną. Jeżeli po drodze spotka pochyłą płaszczyznę, pagórek, ciągnie nań swą kulę ze wszystkich sił. Czasami owad

pada i kulka stoczy się daleko. Żuk szuka jej z niepokojem wszędzie, i jeżeli nie znajdzie, znowu przystępuje do zrobienia kulki, w której składa jedno nowe jaje.

Gdy kulka już jest zupełnie wykształconą, to jest okrągłą, wielką i mocną, świętnik puszcza ją i zostawia losowi, a przystępuje do nowej pracy dla nowego dziecka. Ciężka praca tego owadu zwróciła uwagę Egipcyan na żuka; zdumieni jego pieczołowitością o swoje potomstwo, zrobili go symbolem płodności, który można znaleźć wśród hieroglifów, pokrywających obeliski i inne pomniki egipskie; zwykle wyobrażają go z kulką między nogami. Robiono wyobrażenia ich z porfiru, marmuru, agatu, drogich kamieni i złota, a egipskie niewiasty nosiły na szyi łańcuszki zrobione z sztucznych świętników.

Dr. J. Stella-Sawicki.

O WYKOPALISKACH JÓZEFPOLSKICH.

Napisał

Stanisław Kunasiewicz.



Odległe owe wieki, kiedy tylko przyroda, ta cudna artystka, jakby w natchnieniu szczęśliwym ustrajała wokoło ten świat, a społeczność młoda jeszcze nie była ujęta w karby ustaw i obyczaju, odległe owe wieki, w których narody słowiańskie powstają w Europie, ciemne są, zaledwie w mgle jakiejś majaczą w oddali; blask niepewny, poranny napoly jedynie oświeca nam owe zmierzchnie czasy. To pewna jednakże, że w obrębie wieków zapadłych wiek szósty ery chrześcijańskiej wyprowadził z głębi wszystkie słowiańskie narody, owe niby orlęta młode na świat się kłujące, na widownię historyi, i stanowczo określił ich dzieje. Jakkolwiek i przedtem dorywczo wspominają o nich często greccy i łacińscy historycy i geografowie, stanowcze jednak i niewątpliwe ślady w szóstym dopiero napotyamy stuleciu. W szóstym po Chrystusie wieku znajdujemy u pisarzy bizantyńskich, Prokopiusza i Jornandesa, wyraźne już wiadomości. Był jakiś dzień boży w okresie czasu szóstego stulecia, w którym to dniu wystąpiły na świat wszystkie te narody. Wiek to wielkiego w dziejach Słowiańszczyzny znaczenia; świeci on jako słońce, około którego krąży tyle ludzkiego żywota, grupując się w obrazy różnych odcieni, wyrazu i treści, i świecić będzie zawsze tak dla historyi, jak dla poezyi, artyzmu i wyobraźni, w tysiącnych promieniach swoich przeobrażając życie narodów, zaledwie w zarodku już tyle rozniecających światła po przestrzeniach słowiańskiej

ziemi. W tym to czasie Czesi, Morawianie, w tym to czasie Polska, Ruś między Dniestrem a Wisłą, nad brzegami Dniepru, w Ukrainie powoli poczynają się kołysać, zawiązując na tkance żywota pierwsze dalekie pasma politycznego bytu.

Czemuś nagle, niespodzianie
Ziemia w zorzach się rozbłyska?
Derwlanie a Polanie
Różni — różnych mian Słowianie
Biegną święci uroczyska!
Puste sioła i grodziska!
Patrzaj! tam od Lysej Góry
Z korowajem strojne chóry
Pieśń na świętą rzekę biją.
Głośniej, szerzej pieśń rozbrzmiała...
Czyją głoszą chwałę, czyją?
„Perunowi cześć i chwała!
„Święty ogień dla Kupała!“¹⁾

Na ogromnej przestrzeni na wschodzie i w północnej części Europy od Łaby, Odry, Dunaju, w górę, aż po za Dniepr, w owych przedhistorycznych czasach mieszkali Słowianie.

Miło jest okiem posunąć, choćby nawet poecie, po tym obszarze ziem słowiańskich, po tych górach potężnych, pietrzących się butną budową pod obłoki, a odziewających boki od szczytu w hałe zielone, poniżej otulających się w gęste, bogate, bujne lasy stare, u samego

¹⁾ Duch od stepu. Przygrywka do nowej poezyi Bohdana Zaleskiego.

spodu zaś stawiających stopy swoje jakby na podnózu haftowanym w łąki; po tych skałach, tych natury kapryśnych, na które patrząc, rzekłbyś, że tu sen fantastyczny skamieniał, a kędy sejmują chmury i hulają błyskawice i gromy; po ciemnych lasach, tym światku krzewów i gęstwin, co się wówczas składał w wdzięczne bukiety i w mroczne, tajemnicze państwo ptasiej ludności; po mogiłach i łąkach, potokach i rolach chleborodnych; po tej ziemi iście obiecanej, a tak malowniczej, jak gdyby dla pejzażystów, a poetów stworzonej. Od lat bowiem wielu wyrzeczona jest prawda, iż co dawno umarło w do-
czesności, co już od dawna pogrzebane, to zmartwych-
wstaje w pieśni, odziane piękną i nadziemską uro-
kiem; o czym rzeczywisty, obecny świat zapomniał, to przytula do siebie miłością poezya, to stroi i mili wdzię-
kiem niebiańskim.

„Was unsterblich im Gesang soll leben,
Muss im Leben untergehen.“

To też miło jest posunąć okiem, by obaczyć:

. piękną, błogą ziemię,
Zieleniące się przestworza,
Góry, lasy, a trzy morza;
I kochane, wielkie plemię... 2)

i dawne wieki, zwłaszcza pierwotne, to źródło mytów, ten gaj jakiś śpiewny, pełen melody i nót, ten ogród wiośniany, w którym krzatali się nasi praojcowie prostaczych reguł życia. Chciwie tam patrzy także historyk, badacz dziejowy ziem swojskich, najchciwiej jednakże archeolog... W nich pierwsza karta chwije się zdarzeń, w nich leży początek historii życia... O! z jakąż lubością patrzył tam nasz Adam Czarnocki, znany pod nazwiskiem Zoryana Dołęgi Chodakowskiego, który pierwszy, z kijem w ręku i z torebką żywności na plecach, począł przechodzić wioski i miasteczka, zapuszczać się w rozhovor ze starymi, nasłuchiwać jak

. nieraz kmięć stuletni,
Trącając ziemię żelazem oraczem,
Stanął i zagrał na wierzbowej fletni
Pacierz umarłych, lub rymowym płaczem
Was głosił, wielcy ojcowie bezdzietni.
Echa mu wtórzają, a on słuchał zdala;
Tem mocniej widok i piosnka rozżala,
Że był jedynym widzem i słuchaczem — 3)

spisywać te pieśni gminne, które stoją

. na straży
Narodowego pamiętek kościola,
Z archanielskimi skrzydłami i głosem,
A czasem dzierżąc i broń Archaniola 4)

rozkopywać starożytnie mogiły, które żalnikami od wyrazu

zał nazwał, przepatrywać i odszyfrowywać zapleśniałe dokumenta i rękopisma, słowem z wszelkich nadarzających mu się korzystać sposobów, byle tylko odkryć zamierzchłe wiekiem ślady dawnych dziejów. On to rozprawą swoją O Słowiańszczyźnie przed Chrześcijaństwem, zamieszczoną w Ćwiczeniach naukowych 5), pełną ognia, pełną świeżych, nowych poglądów, „stał się owym zdolnym“, który potrafił:

. własne ognie przelać
W piersi słuchaczy, i wskrzesić postacie
Zmarłej przeszłości; 6)

i natchnąć zapałem ówczesne młode pokolenie ku badaniom archeologicznym. To też od ogłoszenia swej rozprawy nie był on już

„Owym jedynym widzem i słuchaczem.“

Niezwłocznie bowiem rzucono się do zbierania podań zwyczajów, obrzędów i pieśni

. tej arki przymierza
Między dawnymi i młodszymi laty,
W której lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przedzę, i swych uczuć kwiaty. 7)

Poczęto jak najtroskliwej szukać mogił i kurhanów, rozsypanych po ziemiach Polski, a stojących dotąd niemo; bo ci, którzy się z nimi stykali, nie wiedzieli nawet, czyby warto było je o co zapytać; poczęto staranniej przechowywać zabytki i pamiątki...

Od owej też rozprawy Zoryana Dołęgi Chodakowskiego poczyną się szereg badaczy, uzupełniany do dziś dnia coraz to nowymi pracownikami, którzy archeologią polską wzbogacając świeżymi odkryciami, potrafili postawić ją na stanowisku naukowym.

Zabrakło jednakże Zoryana Dołęgi Chodakowskiego; pragnienia i życzenia jego, o których dowiedzieliśmy się z listu przechowanego szczęśliwie do dzisiaj, a w którymto pisał:

„Wraca bocian w kraje przodków swoich! porzuca jaskółka nasze okolice, i gil pieśń wznosi na bezlistnem drzewie! Ach kiedyż ja porzucę to życie, co mi już przykre jest, co mię udręcza? Kiedyż powrócę w żalnik, tę krainę, w której znajdę się, jak pod własną strzechą!“ — niestety zbyt prędko, ze szkodą dla nauki ziściły się; już bowiem w listopadzie 1825 roku porzucił to życie, co mu przykrem było, co go udręczało, i poszedł w żalnik na wieki.

A mogiły, te usypy z ziemi pokrywające grobowce, nazywane także kurhanami, żalnikami, są przecież dla każdego ludu jakby słupce milowe, wskazujące, ile wieków

2) Duch od stepu. Przygrywka do nowej poezyi Bohdana Zaleskiego.

3) 4) 6) Pisma Adama Mickiewicza. Wydanie zupełne. Paryż 1860 „Konrad Wallenrod“ str. 135, 136 tom II. (Pieśń Wajdeloty.)

5) Ćwiczenia naukowe w Warszawie 1818 u Glücksberga i w Krzemieńcu u tegoż, tom II. str. 2—33.

7) Pisma Adama Mickiewicza. Wydanie zupełne. Paryż 1860. „Konrad Wallenrod“ str. 138 tom II. (Pieśń Wajdeloty.)

już przeszedł drogą przez świat; one mu prawią, ile przecierpiał boleści, ile sobie liczy zasług i wieków służby w ludzkości sprawie.

Od najdawniejszych czasów było zwyczajem, uwieczniać pamięć zmarłych pomnikami. Przy celu zawsze jednakim, grobowce te różnią się tylko stylem i czasem wzniesienia. W epoce niemowlęstwa sztuki, gdy narody nie umiały jeszcze myśli swoich wyrażać i uwieczniać w inny sposób, pomnikiem była mogiła—kurhan—żalnik, sypany rękoma ludzkiemi, a tworzony myślą czystą, częścią, uwielbieniem, żalem... Prosty to, że się tak wyrażę, pomnik, to też i najdawniejszy. Już bowiem w piśmie świętem spotykamy wzmiankę o nim: „Y wzięli Absaloma, y wrzucili go w lesie w dół wielki, y nanosili nań kamienia kupę bardzo wielką.“⁸⁾ Mogiły, kurhany, napotykamy u wszystkich prawie narodów: Grecy zwali je: homa, herion sema; Rzymianie: Mercurii acervus, tumulus, bustum; Angli: barrow, terpen, mont-moth, Francuzi: gal-gals,

bliższe i dalsze. Na jednej z takich wycieczek napotkał dwie mogiły, znajdujące się od niepamiętnych czasów we wsi Józepolu (Małej Lachowej) w gubernii chersońskiej, w powiecie ananiowskim, założonej na stepie oczakowskim, na uroczysku zwanem „Owrah stołpow“, w r. 1793 przez Jakuba z Wolda Majera, na przestrzeni ziemi 1149 dzieścin zupełnej równiny, a napotkawszy, bez wahania postanowił jedną z wspomnianych mogił, wznoszącą się obok drogi wiodącej do Karatajowej, bliżej zbadać. Opisu rozkopanej tej mogiły, niemniej nabytków naukowych, odnalezionych podczas rozkopywania, nie napotkałem w żadnym z dzienników krajowych ani zagranicznych. Zawdzięczając czynności naukowej Dr. Krzyżanowskiego kopią protokołu, spisane na miejscu przy rozkopywaniu, zamieściłem króciuchną treść protokołu w odcinku *Gazety narodowej*.⁹⁾ W tych czasach wykończone zostały drzeworyty mogiły i przedmiotów w niej odnalezionych; zda mi się więc, że uprzedam tylko chęci czytelników „Strze-



Mogiła józepolska.

tombelles, puy-joly; Słowianie zaś: mogiła od sanskryckiego moho, wielki—kurhan od tatarskiego gür, kyr, grób, chane dom. Polska również, wyjąwszy tylko Mazowsze i Podlasie, przystroiła się w swe odwieczne żalniki. Zabrało naszego Zoryana Chodakowskiego, to też Dr. Stanisław Krzyżanowski, członek nadzwyczajny akademii umiejętności, zwyczajny Towarzystwa rolniczego w Połtawie i Towarzystwa rolniczego Rosyi południowej w Odessie, Redaktor i wydawca „Rocznika dla archeologów, numizmatyków i bibliografów“, powróciwszy w r. 1870 z Francuska, gdzie wyjeżdżał dla poratowania nadwątlonego zdrowia, pod rodzinną strzechę, rozpoczął, wstępując w ślady zasłużonego Zoryana, nanowo wycieczki naukowe

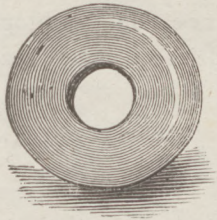
chy“, zamieszczając opis wykopalisk józepolskich wraz z drzeworytami. Przed rozkopywaniem przystąpiono do wymiaru, przy którym przekonano się, że mogiła ta, mająca kształt owalno-podługowaty, obwodu u podnóża swego liczyła 125 metrów i 0.125 m., długości największej 42 metrów i 0.900 m., szerokości poprzecznej 27 m. i 0.885 m., wysokości około 13 m. i 0.585 m. Rozkopywanie poczęto od strony południowo-zachodniej za pomocą sześciu robotników.

Po odrzuceniu wyższej warstwy, w głębokości 3 metr. natrafiono na wielką ilość zupełnie spróchniałych kościotrupów ludzkich, a na nich znaleziono dwa kościotrupy końskie, zwrócone głowami ku północnemu wschodowi,

⁸⁾ II. Księga król. XVIII. 17 według przekładu D. Jakuba Wuyka z Wągrowca. We Lwowie 1840.

⁹⁾ Kilka słów o Rocznikach dla archeologów, numizmatyków i bibliografów polskich i wydawcy tychże Dr. Stanisław Krzyżanowskim, napisał Stanisław Kunasiewicz. Odbitka z odcinku „Gazety narodowej.“ Lwów 1872.

w pośród mnóstwa spróchniałego drzewa dębowego; obok leżało w ziemi niewielkie kółko z kości słoniowej, bez napisów, średnicy 0.035 m., szerokości obwodu 0.010 m., najprawdopodobniej „amulet tatarski.“



Głębiej o metr 1 wykopano w niewielkiej odległości następujące przedmioty obok siebie leżące:

1) Urnę z gliny żółtej palonej, niepolewaną, wysokości



0.170 m., szerokości u góry w średnicy 0.160 m., szerokość podstawy 0.095 m.;

2) popielniczkę małą, z gliny szarej palonej, niepolewaną,



wysokości 0.070 m.; szerokość u góry 0.075 m., szerokość podstawy 0.025 m.;

3) popielnicę z gliny czarnej, palonej, niepolewaną,

z ozdobami w kształcie wężykowatym u góry i 4ma otworami przeciwległymi dla założenia rączki, wy-



sokość 0.100 m., szerokość u góry 0.100 m., szerokość podstawy 0.070 m.;

4) kilka kawałków przez rdzę zjedzonego żelaza;

5) kawał podstawy z urny lub popielnicy, z gliny czar-



nej palonej, niepolewanej;

6) kawał obrobionej kości słoniowej.

Prócz tego, z podania miejscowego, przy sposobności rozkopywania dowiedział się nasz archeolog, iż w r. 1841 obok wiatraka wyorano w mogile niewielkiej: kolczugę drucianą, hełm i miecz, ale przedmioty te przez nieznaną jomość i niedbalstwo posiadacza uległy zupełnemu zniszczeniu. Obszerny opis tej mogiły i rozkopywania zamieszczony zostanie w rocznikach dla archeologów, numizmatyków i bibliografów polskich.

Tak więc Dr. Krzyżanowski, który już niejednym promień światła zapalił w ciemniach przeszłości naszej, który wprowadza nas po katakumbach puścizny, co dziedzictwem przeszłości na nas spadła, a „Rocznikiem dla archeologów“ stwarza nam ognisko dla tego rodzaju naukowych poszukiwań w chwili, gdy nam już nie chodzi jedynie o gromadzenie materiałów surowych, lecz o krytyczne wyjaśnienie zabytków literatury i sztuki, rozkopaniem mogiły we wsi Józefpolu powiększył liczbę swoich zasług naukowych, a zarazem zaskarbił sobie prawdziwą wdzięczność u wszystkich zajmujących się starożytnictwem.

K w i a t P a p r o c i .

Staruszka była to siwa,
Nam dziatkom znana z dobroci...
Konając dała mi kwiatek,
A był to — kwiatek paproci...

I z tym kwiatuszkiem na sercu
Błądziłem długo po ziemi,
A pomny skarbów zaklętych,
Szukałem ciągle za niemi...

Lecz zamiast skarbów i szczęścia,
Gdzie tylko stąpił wędrowiec,

Zaznaczał łzami swą drogę...
Dlaczego kwiatku?... odpowiedz...

Odpowiedz kwiatku ty niemy,
O tajnej czarów potędze:
Dlaczegom znalazł, gdzieś stąpił,
Łzy ludzkie, rozpacz i nędzę?..

U mego boku dlaczego
Straciłeś moc twą tajemną?..

A przecież siwa staruszka
Szeptęła pacierz nademną...

I tak szeptęła w skonaniu:
Tyś obraz matki twej żywy...
Masz serce, dobry chłopczyno,
Więc będziesz pewnie... szczęśliwy...

W maju 1873.

AURELI URBAŃSKI.

POJEDYNEK AMERYKAŃSKI.

(C I A G D A L S Z Y)

Gdy Kornel zaczął bywać w jego domu i pojawiać się coraz częściej, przed Witoldem niedługo mogło się utaić, że nowy ten przyjaciel jest zakochanym w jego żonie. Bywają śmieszni mężowie, którzy już tem czują się obrażeni, tak jakby kobieta z zamążpójściem traciła lub była obowiązana zdejmować z siebie, jak negliżowe ubranie, wszystkie zewnętrzne i wewnętrzne przymioty, które jej pozyskały miłość męża, a kłaść, jak strój ceremonialny na przyjęcie gości, przywary i wady, któreby ich odstręczały. Witold naturalnie nie należał do takich. Wiedział, że równi jak on, mogą i inni kochać się w tej, która jego miłość wzbudziła; wiedział, że wolno mu ich żałować, jako skazanych na uczucie nie mające żadnej nadziei; ale niepodobna gniewać się na nich o to, że nieszczęśliwie skierowali swoją namiętność.

Zrobiwszy to spostrzeżenie, nie mówił o niem z żoną, co dowodziło, że znał jej charakter. Wanda, jak ją już znamy, była kobietą seryo rzeczy biorącą, rozmowa z nią o podobnym przedmiocie mogła tylko powiększać niebezpieczeństwo, jak się już o tem z jej rozmów z sędzią przekonaliśmy.

Niedługo jednak Witold spostrzegł, że i dla Wandy uczucie Kornela nie jest tajemnicą.

To go uczyniło jeszcze baczniejszym, ale baczniejszym przede wszystkim na siebie i na Kornela.

Wiedział, że Wanda, gdyby miała pokochać kogoś, a zapomnieć o mężu, musiałaby w tym nowym wybrańcu uznać wyższość nad swym mężem.

Zaczął więc studyować Kornela i porównywać go ze sobą, wystrzegając się miłości własnej, która w podobnych razach zaślepia i gubi. Szukał w nim stron dobrych, i gdy je odkrył, robił rachunek sumienia, czy sam dorównać mu może.

Mimo surowości, z jaką się sądził, sumienie zapewniało go, że nie powinien mieć obawy.

Tak upłynął czas dosyć długi, nareszcie Kornel

zaczął sięgać po broń cięższego kalibru, jaką posiadał w swej zbrojowni, zaczął się popisywać z przymiotami, których mąż, już jako mąż, nie miał potrzeby ani sposobności okazywać przed żoną.

Od czasu do czasu w poufnych pogadankach z Wandą Witold dowiadywał się o różnych drobnych bohaterstwach pana Kornela. Sprytny wielbiciel potrafił się na przykład okazać przed nią w jakimś zdarzeniu odważnym jak Leonidas, dzielnym jak Roland, który mieczem rozciął skały i tak silnie w róg trąbił, że mu w szyi pękały żyły. Rozumie się, że Kornel był Leonidasem na małą skalę, a Rolandem w miniaturze, bo całe to zdarzenie, nie warte nawet szczegółowego opisu, zaszło nie pod Termopilami ani w Ronceraux, ale na jakiej wycieczce zamiejskiej na koniach, które się przypadkiem spłoszyły. W każdym razie Witold nie miał nigdy sposobności okazać przed swą żoną takiej odwagi i takiego rycerskiego ducha, Wanda zaś nie była świadkiem wielu zdarzeń podobnych, więc to jedyne, które urozmaiciło jej przejażdżkę, dość silnie oddziaływało na jej wyobraźnię.

Takich przykładów było więcej. Witold zrozumiał zamiary Kornela, odgadł jego strategię i uznał sprytnego adoratora swej małżonki niebezpieczniejszym, niż mu się wydawał z początku.

— Tęgi gracz z niego — powiedział do siebie — nie myśli kochać bez nadziei... A Wanda, drogie, kochane, roztropne ale niedoświadczone dziecko... trzeba jej strzedz... trzeba ją ratować...

I jak lekarz, zastanawiający się przytomnym umysłem nad stanem chorego, rozmyślał nad środkami ratunku.

W tych czasach, w chwilach samotnych, często chmurą zabiegało mu czoło, wobec żony jednak i wobec Kornela był takim, jakim był zwykle, tak że oboje żadnej w nim zmiany nie dostrzegli.

VIII.

Kornel rozpoczął już wytaczać ze swego arsenału najcięższe dzieła obłącznicze.

Ów wyraz męczennicy, zdradzający tłumioną namiętność i rezygnacją, coraz częściej pojawiał się na jego twarzy.

Pogadanki jego z żoną Witolda, stopniowo coraz poufalsze, wkraczały z wolna w zakres coraz drażliwszych przedmiotów. Miłość, analiza tego uczucia, oto treść, która nieznacznie i powoli stała się ich treścią codzienną.

Kornel zazwyczaj mówił, mówił wiele, mówił z codzien większym zapalem. Nie można mu było zabraniać poruszać tego przedmiotu, nie można się było obrażać, że do niego często powraca, bo się ściśle zamykał w zakresie teorii, filozofował z wyłączeniem siebie; a czy przytaczał autorów, mówiących o tym przedmiocie, czy też rozwijał swoje osobiste o nim pojęcia, zawsze była mowa tylko o tem, jak on rozumie uczucie, jakby kochał, gdyby kochał, jak będzie kochał, gdy pokocha, nigdy jeszcze o tem, że kocha i kogo.

Wanda więcej słuchała, niż mówiła. Odzywała się jakby dlatego tylko, żeby przypomnieć i skonstatować, że to, co się mówi, jest czysto abstrakcyjnym rozumowaniem; nie odnoszącem się do żadnych osób żyjących, mających kości i krew.

Były to ostatnie szanse, po za którymi kryła się przed sumieniem, które jej zarzucało, że takich rozmów słuchać nie powinna.

Powtarzała to sobie codzien, i postanowiła nie pozwolić nazajutrz Kornelowi powracać do tego przedmiotu.

Mimo to, gdy przyszedł i gdy mówić zaczął, słuchała go. Znajdowała w tem słuchaniu pewną przyjemność i pewną boleść. Przyjemność, bo wyobrażnia jej lubowała się w obrazach tej czarownej i poetycznej miłości, jaką przed nią kreślił Kornel; boleść, bo się przekonywała, że nie była tak kochana.

Z rozmów Kornela, w których nigdy nie było mowy o Witoldzie, wpływało najwyraźniej to zdanie:

Twój mąż tak cię kochać nie umie.

Rada była uciec od tych wyrazów, i niby jakaś tajemnicza potęga przykuwała ją do miejsca.

A kiedy Kornel skończył, złośliwy jakiś szatanek szeptał jej do ucha:

— On tak kochać potrafi... a czy ty wiesz, kogo on kocha?..

Wtedy Wanda wstawiała nagle, zarumieniona, lekkim ukłonem zęgnąła Kornela, i skarżąc się na silny ból głowy, wychodziła z salonu.

Kornel odchodził do domu, idąc ulicą na wszystkich patrzył z góry, a kiedy wchodził do siebie, na schodach zacierał ręce. Według jego obliczeń, obserwacji i przypuszczeń wszystko było już najdoskonalej przygotowane i

dojrzałe. Potrzeba mu było tylko jakiejś sposobności, do której dałoby się przyczepić rozwiązanie intrygi.

Sprytny człowiek nigdy długo nie szuka okoliczności, której chce użyć za punkt wyjścia w jakiejś sprawie. Tym razem okoliczność nastęczyła się sama.

Sędzia Korowski na czas jakiś wyjechał był z żoną do wód za granicę, i w tym czasie właśnie powrócił. Sędzina powróciwszy do miasta, w którym przez parę miesięcy tyle rzeczy zmienić się mogło, nie wypoczęła ani dnia jednego, lecz zaraz w dniu przyjazdu postanowiła podwiedzać wszystkie znajome i przyjaciółki, pewna, że w tym objeździe zrekrutuje nanowó legion adoratorów, który się przez jej nieobecność przerzedził.

Jedną z najpierwszych pomiędzy temi, które zaszczyliła swoją wizytą, była Wanda. Pierwszeństwo przed nią dała tylko jednej ze swoich ciotek, u której na czas wyjazdu za granicę zostawiła na opiece swego pokojowego pieska.

Przekonawszy się, że Bibi zdrow i nie tak bardzo schudł z tęsknoty, nie zabawiła u ciotki dziesięciu minut, i kazała się wieść do Rolickich.

— Pierwsza rzecz — mówiła do siebie w drodze — dowiedzieć się, jak się mają moje domowe zwierzątka. Bibi nie schudł, to mnie cieszy; Kornelek, chociaż go darowałam, i nie mam już do niego żadnej pretensyi, ale byłoby mi serdecznie przykro, gdyby nieboraczek zmizerniał.

Zastała panią Witoldową w towarzystwie Kornela, zajętych rozprawą, wywołaną którymś z tysięcy jeden paradoksów, wygłoszonych przez panią Duderant o miłości.

— Me voici, ma chère, me voici — zawołała wbiegając — nie uwierzysz, jak się za tobą stęskniłam za granicą, moja Wandeczko; ale już jestem, już jestem i nie pojedę, chyba na przyszły rok... Wystaw sobie, moja droga, że twój mąż wielki los wygrał na loteryi małżeństwa... ależ ty młodziej i piękniej co dzień... przez tych kilka miesięcy stałaś się o parę lat młodszą i piękniejszą o parę... alboż ja wiem, na co piękność się mierzy, podobno na stopnie Réaumura... Jeżeli tak dalej pójdzie, to niedługo będziesz miała dwanaście lat, i będziesz taka jak ja malutka... Ja, to co innego, zestarzałam się na szczer... najwięcej ze zmartwienia, że mnie pan Kornel porzucił... carje vous ai vue, ma grande, vilaine cornelle, je vous ai vue, ale nie miałam czasu pana przywitać — dodała zwracając się do Kornela — bo się nią nacieszyć nie mogę. Nie prawdaż, panie Kornelu, że ona piękna jak anioł, i że się pan w niej kochasz na zabój?..

— Pani sędzino — rzekł Kornel, i słowa zamarły mu na ustach. Słowa zamarły, ale oczy powiedziały więcej, niż mówiły kiedykolwiek, aż się ich przestraszyła Wanda...

— Et tu le traites en... évantail, ma chère — zaczęła znowu Julia zwracając się do Wandy — nie-

prawdaż?.. Zgadłam, doprawdy zgadłam... zarumieniłaś się naprawdę... Wzdychajże pan, wzdychaj, panie Kornelu, czy nie widzisz, że bogini gorąco?..

W tym tonie poszczebotała jeszcze dłużej i byłaby szczebotała bez końca, nie zważając na pomieszanie i zakłopotanie Wandy, której nie pozwalała dojść do słowa; ale przypadkiem rzuciwszy okiem na jej twarz, spostrzegła, że rumieniec przedchwilowy zastąpiła alabastrowa bladeść.

— Aleś ty słaba, co ci jest, Wando, Wandeczko!..

— Nic... nic... to przejdzie... nie wiem... może migrena...

— Zkąd znowu? nigdyś nie cierpiała na głowę... to atak jakiś niespodziewany... Panie Kornelu, biegnij pan po doktora... mais dépechez vous donc!

Kornel wybiegł.

— Wypędziłam go... cóż?... lżej ci?..

— Lżej... doktor nie potrzebny...

— Każę go nie przyjmować, ani posłańca...

Zadzwoniła i wydała rozkaz służącemu.

— Domyśliłam się odrazu, że to nic... że to przejdzie... ale trzeba było odpędzić pana Kornela... widać, że to jego obecność, i to, z czem się wypaplałam nie chcący... Słuchaj Wandziu, zwierz się przedemną... to ci ulży...

— Mam się zwierzyć? z czem?

— On ci za głęboko zajrzał w serduszko... Biedny Witold!..

— Julio! — zawołała Wanda z oburzeniem — to podejrzenie godne szatana nie ciebie.

— Ja ciebie o nic nie podejrzewam, moja święta... przysięgam ci, że o nic... o nic złego... Ale ja znam kobiety, jestem przecież także kobietą... ne fut-ce qu'en miniature... Wierz mi, i mnie się zdarzało, żem któregoś z nich bardziej sobie upodobała, niż to pani sędzinie Anzelmowej Korowskiej wypadało, i że on mnie bardziej kochał, niż mężatkę kochać się godzi... Ale wtedy miałam na to lekarstwo, lekarstwo nieomyłne.. Czy słuchasz mnie?

— Słucham...

— Pozwoliłam mu po raz pierwszy powiedzieć mi wyraźnie, że mnie kocha, wysłuchałam go z powagą, odpowiadając przyznałam się, że z przyjemnością słucham jego wyznania, że mam dla niego współczucie, ale jeżeli się okazała godną jego miłości, chcę być także godną jego szacunku... Kazałam mu przysiąc, że nie poweźmie nigdy myśli, któraby dla mnie była ubliżeniem i zniewagą; przysięgam mu nawzajem, że gdybym pierwszy raz spostrzegła, że o tej przysiędze zapomina, zabroniłabym mu na zawsze znać mnie i zbliżać się do mnie, a nakoniec zażądałam od niego, aby na dowód, że jego uczucie jest prawdziwe, przychodził do mnie choćby co dzień, choćby dwa razy dziennie, i żeby mi zawsze, ciągle, bez ustanku i bez odmiany mówił i powtarzał, że mnie kocha i jak mnie kocha. To ostatnie po tych wszystkich przysięgach jest, widzisz moja droga, najstraszliwszą dla

mężczyzny pigułką. Byli tacy, co jej przełknąć nie mogli i nie pokazywali się więcej; inni łykali i chodzili całe miesiące cedzić mi swoją miłość po łyżeczce, aż nareszcie.. no wiesz przecież, że natura ludzka ścierpieć nie może wiecznie jednego i tego samego... rejterowali, najzupełniej wyleczeni...

— A ty? — spytała Wanda, z gorączkową ciekawością słuchająca wykładu tej teorii — wszakże mówiłaś, że ci się podobali... że ci się podobali [bardzo.. więcej, niż przystało sędzinie...

— A ja, moja droga?.. lekarstwo skutkowało i na mnie.. Jeżeli który nie przyszedł zaraz nazajutrz, dawał mi tem dowód, żem niebardzo szczęśliwie umieściła swoje... upodobanie. Przykro mi to było przez kilka dni... potem urażona miłość własna zrobiła swoje.

— A jeżeli przychodził?

— Jeżeli przychodził, to mnie po miesiącu tak znudził monotonością swoich wynurzeń, żem szczęśliwa była, jak sobie poszedł.

— Ty bo jesteś salamandra, kochana Julio... igrasz z ogniem i nie lękasz się sparzenia.

— A któż ci powiedział, moja Wandziu, że każda kobieta taką salamandrą być nie może, jeżeli chce i powie sobie, że powinna?

Rozmowa ta stała się przedmiotem długich rozmyślań Wandy. Teoria, wyłożona przez pustą i lekkomyślną kobietę, uderzyła wyobraźnię kobiety, zastanawiającej się i rozumnej, a potrzebującej gwałtownie tarczy przeciwko sobie samej i lekarstwa na siebie samę.

IX.

Następnego dnia, o zwykłej godzinie, jednej z tych w których Witold najrzadziej bywał w domu, Kornel odwiedził panią Rolicką.

Był bladej, poważny, ubrany po podróznemu.

Zastał Wandę również poważną i spokojną. Na jego przybycie serce jej mocniej uderzyło uczuciem jakiejś nieokreślonej obawy, ale umiała panować nad sobą i nie dała mu tego spostrzedz.

Być może, że ta powaga i ten spokój, którego się nie spodziewał, trochę pomieszały Kornela. Przy powitaniu brakowało mu wyrazów.

Nie usiłował pokryć tego pomieszania, które wcale nie było sztuczne. Wiedział zanadto dobrze, że okoliczności tak się złożyły, iż tego niepodobna wytłumaczyć w sposób, któryby dlań był niekorzystny.

— Co znaczy ten ubiór, panie Kornelu — zapytała go po chwili pani Rolicka — wyjeżdżasz pan?

— Tak jest pani, wyjeżdżam...

— Czy na długo?..

— Na zawsze.

— Wolno mi wiedzieć powód pańskiego wyjazdu?..

— Znasz go pani.

— Znam?

— Tak jest... Dopóki wolno mi było sądzić, że to, co czułem, było świętą tajemnicą moją... mogłem tu bawić... mogłem się rokoszować cieniem szczęścia... Dziś, gdy tajemnica została zdradzoną... oh! nie z mojej winy, nie z mojej... gdy lekkomyślna kobieta poważyła się z świętokradzkim szyderstwem odsłonić najskrytsze mojej duszy tajniki, a ja nie miałem siły i odwagi, żeby bluźnierczem wyparciem się swych uczuć zadać jej kłamstwo, i tę odrobinę szczęścia, jaką się upajałem, ocalić, dziś nie pozostaje mi nic innego, jak pożegnać panią na wieki. Bądź pani pewną, że mnie nie spotkasz więcej na drodze swojego życia.

— Jesteś pan szlachetny człowiek, panie Kornelu — odpowiedziała Wanda, wyciągając do niego rękę.

W oczach jej świecił dziwny płomień, niby gwałtem powstrzymywane łzy.

Kornel jej rękę okrył namiętnymi pocałunkami. Nie bronila mu jej przez chwilę, następnie zlekka usunęła.

Ruch ten jakby oprzytomnił Kornela.

— Żegnam panią — rzekł stłumionym głosem — żegnam panią!

— Potrafisz pan się ugiąć pod ciężarem konieczności, panie Kornelu — szepnęła słabnącym nieco głosem Wanda — O! bądź pan pewny, że żadnego z pięknych rysów pańskiego charakteru nie zapomnę nigdy... nigdy!.. Te słowa przyjm pan na pożegnanie.. nie żądaj więcej... bądź zdrow!..

Kornel raz jeszcze ujął jej dłoń w milczeniu i złożył na niej gorący pocałunek. Wanda tym razem pospiesznie cofnęła rękę, i jakby z obawy, żeby jej sił nie zabrakło, rzekła:

— Idź pan już... i bądź szczęśliwym.

Nogi zachwiały się pod Kornelem, i to także z pewnością udaniem nie było.

Zwolna postępował ku drzewom. Brał już za klamkę, gdy Wanda zcicha zawołała:

— Czekaj pan!

Słowa te z szybkością iskry elektrycznej przywróciły mu siły. Zwrócił się nagle, jakby chciał upaść jej do nóg. Spojrzenie na nią przekonało go jednak, że nic go jeszcze do tego nie ośmiela... Zatrzymał się z uszanowaniem w pewnym oddaleniu...

— Słówek jeszcze... odpowiedz mi pan na jedno pytanie.

— Słucham pani...

— Wyjazd ztąd, przerwienie się w świat, rujnuje wszystkie pańskie widoki, niweczy wszystko, coś uczynił, aby sobie zapewnić przyszłość... nieprawdaż?

— Nie, pani.

— Czy to szczerza odpowiedź?..

— Nie chciej pani nalegać... Jest to odpowiedź taka, jaką mi dać w tej chwili nakazuje obowiązek...

— A więc nieszczerza... zrozumiałam pana.

— Nie, nie zrozumiałaś mnie pani... Odpowiedź moja była szczerą... Nie tracę nic, bo cokolwiekbym stracił, jest niczem w porównaniu z tem, co tracę tracąc ciebie... Jeżeli w obcych krajach będę musiał zacząć życie nanowo, bez żadnej pomocy... ha! tem lepiej!.. Może twarda praca na chleb powszedni ułatwi mi znoszenie tej boleści, którą jako jedyne mienie z kraju wywożę...

— Panie Kornelu, ja na to pozwolić nie mogę... pan zostaniesz...

— Nigdy pani!... wiedząc o mojej tajemnicy, zabroniłabyś mi pani widywać się... a zostać tutaj i nie widzieć ciebie... nie! wolę nędzę! wolę piekło!

— Pan zostaniesz i będziesz mnie widywał...

— Widzieć cię i nie mówić ci o miłości, o której wiesz, której głębię mogłaś poznać... nie pani... nie żądaj tego, to byłoby nad moje siły...

— Zostaniesz pan, i będzie ci wolno mówić mi o miłości.

— Na kolanach, jak teraz, aniele! — zawołał Kornel klękając i wyciągając do niej rękę.

— Choćby tak jak teraz, panie Kornelu...

— Miłości mojej nie zdolne wypowiedzieć wyrazy... jest to uczucie, którego pełnia rozsądza pierś i czaszkę, przynika całe jestestwo... ja cię więcej niż kocham, ja cię czczę!...

Zbliżył się do niej na klęczkach, ona zlekka odsunęła go ręką.

— Słówek jeszcze... Kochasz mnie pan tak, żebyś mnie raczej krwią swoją bronił od zniewagi, niż znieważył?..

— Możesz pytać o to pani!

— Przysiąż mi pan zatem, że miłość twoja jest taką.

Kornel z zapalem podniósł rękę do góry i zawołał:

— Przysięgam!

— Dobrze — odpowiedziała Wanda — teraz pan wstań i daj mi dowód, że rozumiesz swoją przysięgę i że ją szczerze wykonałeś.

Kornel powstał i pozostał milczący przez chwilę.

— Pojmuję panią — rzekł — pojmuję panią. Miłości mojej wolno mówić o sobie, ale nie wolno żądać nic od ciebie... nic i nigdy... pojmuję panią... przysięgłem na to i dotrzymam, choćby mi się strawić przyszło własnym płomieniem.

— Jesteś pan szlachetny człowiek, wierzę w pańską miłość, panie Kornelu, i ufam jej — z rozpodgodzonym czołem odpowiedziała Wanda. Czuła się w tej chwili spokojną, bezpieczną i szczęśliwą. Była przekonaną, że przeciw sobie samej znalazła tarczę — w Kornelu.

A Kornel wyszedłszy od niej czuł się także szczęśliwym i pewnym siebie.

— Gdyby organizmy ludzkie były z żelaza i hartowanej stali, toby się przydały na coś takie przysięgi.

Z temi słowy na ustach wrócił do domu.

(Ciąg dal. nast.)

Z życia Szlachcica.

A. GROTTGERA.

II.



Na krewkość twarde kładziono wędzidło,
 Cześć dla kobiety wszczepiano za młodu,
 I honor mężki brał pod swoje skrzydło
 Wstyd święty dziewic, jako wstyd narodu.

Toż byli ludzie czyści i wyniośli;
 I jak z żołądzi drobnej dąb wykwiła,

Rodziną stali i z rodziny rośli;
 I była groźna ta Rzeczpospolita!

Kądziel stawała nieraz przy sztandarze,
 Niewieścia rada przy mężu nierzadko;
 A cicha dusza z wielkiem sercem w parze:
 Chrzanowska razem ze Żółkiewskich matką!

WL. ORDON.

Rocznice historyczne w kwietniu.

Najdawniejszą, związek z dziejami Polski mającą daną w tem miesiącu jest rocznica d. 23. kwietnia 997.

Jestto dzień zabicia ś. Wojciecha przez Prusaków pod Fischhausen na jego apostolskiej pielgrzymce między tym narodem. Kościół katolicki obchodzi ten dzień jako święto Wojciecha, a dla Słowian wogóle, dla Czechów i Polaków w szczególności ma on znaczenie jako przypomnienie misji cywilizacyjnej, podjętej przez te narody na wschodzie i północy Europy.

Żywoć św. Wojciecha i szczegóły jego męczeństwa są tylokrotnie opisane i ostatecznie przez uczonego Augusta Bielowskiego wyjaśnione równie gruntownie i uczenie jak przystępnie. Musimy więc przypuszczać, że są znane każdemu światłemu czytelnikowi.

Wspomnienia takich rocznic, które uwieczniają fakta prawie powszechnie wiadome, godzi się z innej roztrząsać strony, niż tylko z faktyczno-dziejowej.

Oto dzień ten śmierci męczeńskiej św. Wojciecha był jednym z wielu dni, które inaugurowały nową, dla Polski i Niemiec równie ważną, szkoda tylko, że nierównie szczęśliwą epokę.

Opowiadają historycy, że św. Wojciecha nakłonił Bolesław Chrobry, aby się udał między Prusaków. Świętobliwemu temu mężowi, który bądź dlatego, że sobie sprykrzył pozycję wśród niesnaskami książąt i panów skołatanej swojej ojczyzny, bądź że zapragnął na obszerniejszym polu nawracania pogan szukać zasług około sprawy chrześcijaństwa, niż mu nastęrczały Czechy i Polska jako już nawrócone, było to dosyć obojętnem, w którą stronę ma skierować swoje usiłowania, od których pogan rozpocząć nawracanie. A ponieważ wówczas toczyła się właśnie wojna Niemców przeciwko Lutykom pod cesarzem Ottonem III., w której Bolesław Chrobry temuż był pomocnym, więc wydało się znać św. Wojciechowi rzecz najspodobniejszą, w ślad za podbojem i władzą świecką nieść innym ludom słowiańskim światło nowej nauki, której błogosławieństwa już Polacy i Czesi doznawali, i szerzyć duchowną władzę kościoła. Odradził mu to Bolesław Chrobry i wyprawił św. Wojciecha do Prusaków, jakoby przeczuwał, że tam powstanie zaród nowej potęgi złowrogiej dla Polski, że zatem należy zawczasu rękę położyć na tętnicach przyszłego życia. Nie stali się wprawdzie pierwotni, właściwi Prusacy, zarodem tej potęgi, owszem padli oni ofiarą tej misji cywilizacyjnej, którą rozpoczęli Bolesław Chrobry i św. Wojciech. Ale potęga ta powstała na zgliszczach i pobojuwiskach w niszczącej walce, toczonej później przez wojowników znaczących, nie jak św. Wojciech pokojowem słowem, ale krwią i pożogą

swoje posłannictwo cywilizacyjne. Powstały Prusy nie pruskie, ale krzyżackie i niemieckie, którym Polska dała życie, aby wyhodować w nich dla siebie zabójcę. O tem nie myśleli i tego nie zamierzali ani Bolesław Chrobry ani św. Wojciech, gdy pierwszy dał pochop do misji cywilizacyjnej i świątobliwej drugiego, którą tenże z poświęceniem apostolskiem podjął, i na której zdobył koronę męczeńską d. 23. kwietnia r. 997.

Ale nie rozpoczęcia tej misji winą jest to, że jednym z jej następstw było nieszczęsne dla Polski wzniesienie się prusko-niemieckiej potęgi. Byłoby to najfałszywszym w świecie wnioskiem, który uczeni określają formułą: *post hoc ergo ob hoc* (po tem a więc dlatego).

Owszem misja ta św. Wojciecha, która łączy jego znaczenie dziejowe z wielkim królem Bolesławem Chrobrym, łączy także dwie wielkie myśli przewodnie, których urzeczywistnieniem były, są i będą dzieje Polski.

Bolesław Chrobry i św. Wojciech są to dwaj przedstawiciele świeckiego i duchowego jej posłannictwa: skonsolidować się jako mocarstwo, stać się ogniskiem politycznego ukształtowania się Słowiańszczyzny i przodować tejeż w dziedzinie oświaty.

Obaj, położwszy podwaliny do dzieła, którego potomność miała i ma jeszcze dokonać, obaj skończyli swój żywot w tym miesiącu wiosny, chociaż nie w tym samym roku.

W samych początkach panowania swego wskazał Bolesław Chrobry pragnącemu niebieskiej korony świątobliwemu mężowi drogę, na której aż nadto prędko dopiął pożądanego celu.

Sam zaś Bolesław prowadził jeszcze przez lat blisko trzydzieści wielkie swoje dzieło ustalenia monarchii, i znowu na ten miesiąc przypada rocznica śmierci tego inicjatora posłannictwa Polski.

Trafnie wystawia tę misję Bolesława Julian Bartoszewicz. Przytaczamy z jego charakterystyki tego króla, którego jest niemal namiętnym wielbicielem, najbardziej cechujący ustęp.

„Świat europejski rozdzielił się wtedy na dwie połowy: zachodnią i wschodnią, to jest na Niemce i na Grecyą. Te dwie połowy ludzkości, reprezentowały dwa wielkie cesarstwa, z których każde nazywało się w pysze swojej rzymskiem. Rzymskie prawdziwe dźwigało się, podnosiło, znalazłszy w Niemczech nowy środek ciężenia, ale greckie, konstantynopolitańskie cesarstwo, tak zwanego nowego Rzymu, rozpadło się, i żadne siły tej choroby uleczyć nie mogły. Pojęcie zaś ze świata starożytnego wyrosłe a silne u ludów ówczesnych było, że tylko Rzym

panuje nad światem, i że co chrześcijańskie, to musi być, to jest, rzymskie. Dla tego i Polska przyjmując wiarę wchodziła w świat rzymski, stawiała się integralną jego częścią. Ztąd pretensje do niej cesarzów niemieckich, ile że Polska wiązała się z Zachodem, nie ze Wschodem. Bolesław Wielki chciał dla wschodu słowiańskiego ukazać inny, drugi punkt ciężenia. Ukazał go w Polsce. W myśli jego było cesarstwo słowiańskie, polskie, które miało zastąpić nowe rzymskie konstantynopolskie.“

Przytoczyliśmy to zdanie Bartoszewicza, aby poprzez powagę historyka nasze zapatrywanie się publicystyczne na znaczenie polityczne Bolesława Chrobrego.

Myśl skonsolidowania Polski, której Bolesław Chrobry dokonywać począł, została ostatecznie dokonana przez Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego.

Myśl uczynienia z Polski ogniska Słowiańszczyzny, nie doznała nigdy tak bliskiego celowi swojemu doprowadzenia, jak za Bolesława Chrobrego. Królestwo Chrobrego stykało się na zachodzie z cesarstwem niemieckim, bo nawet Czechy uleż musiały jego przewadze, gdzie podobnie, jak na wschodzie w Kijowie, osadził księcia ze swego ramienia. Na południe rozciągnął granice Polski po Cisę. Na północy oparł się o Bałtyk przez zajęcie Pomorza, i tylko od północnej Rusi przegradzała go Litwa, a od południowych Słowian Węgry. Jednak i usunięcie tych przegród było w planie Bolesława; dlatego słał misjonarzy między Prusaków i węgierskie państwo znacznie uszczuplił.

Myśl ta uczynienia z Polski ogniska Słowiańszczyzny nie znalazła już po Bolesławie Chrobrym równie mądrego i dzielnego wykonawcy. Ale nie przestała ona być dziedzictwem przekazanem narodowi, który go dotąd nie objął. Wykonanie jej jest zadaniem przyszłości. Miał też Bolesław zupełne przeświadczenie o swoim wielkim znaczeniu, i wypowiedział je umierając, gdy twierdził: że żałoba po nim wieki trwać będzie, i że płakać go będzie późna potomność.

Tak jest — dzień zgonu Bolesława Chrobrego powinien być dotąd dniem żałoby dla całego narodu, bośmy dotąd nie spełnili wielkiego, przezeń narodowi przekazanego zadania, powinien być oraz dniem przypomnienia, że mamy to wielkie zadanie spełnić: przez Polskę do Słowiańszczyzny i przez Słowiańszczyznę do Polski.

Dopóki tego zadania nie spełnimy, tak długo trwa i trwać będzie doba narodowej pokuty.

To ma nam przypominać dzień 3. kwietnia.

Największego po Bolesławie Chrobrym z królów Polskich dni pamiątkowe przypadają także w kwietniu.

Jest nim Kazimierz Wielki, w którego życiu i dziejach najważniejsze zdarzenia, stanowiące epokę, przypadały zawsze w kwietniu.

Dnia 30. kwietnia 1310 rodzi się ten syn Władysława Łokietka w Kowalu na Kujawach.

Dnia 2. kwietnia 1333 obejmuje rządy po ojcu, dnia 25. kwietnia 1333 przyjmuje namaszczenie i koronę z rąk Janisława, arcybiskupa Gnieźnieńskiego.

Jest i to godnym uwagi w życiu Kazimierza Wielkiego, a nie bez znaczenia dla naszych dziejów, że ślubne związki z pierwszą małżonką swoją: Aldoną, córką Gedymina, zawarł na d. 25. kwietnia 1325.

Z tych wszystkich danych jest ostatnia niejako przysposobieniem do przyszłego zjednoczenia obudwu narodów.

Nie był ten związek małżeński Kazimierza W. pobłogosławiony potomstwem, jak wogóle żaden z prawnych jego ślubów. Może i w tem było pomyślnie dla sprawy narodowej zrzucenie Opatrzności. Gdyby bowiem Kazimierz był pozostawił męzkiego potomka, nie byłaby przyszła Jadwiga do tronu polskiego, i nie byłoby też niezawodnie przyszło do skutku poślubienie przez nią Jagiełły, a w dalszym tego następstwie połączenie Litwy z Polską.

Wracając do właściwego znaczenia Kazimierza W. w dziejach, i do polityki, jaką on zainaugurował wstępując na tron, musimy podnieść wielkiej wagi okoliczność. Ostatni ten, męzki Piastów potomek, których tradycja z rodu włościan wywodzi, wziął w opiekę swoją stan włościański do tego stopnia, że go szlachta z szyderstwem królem chłopków nazwała.

Jako prawodawca zarówno jak w sędziowskim urzędzie pojął on dobrze niebezpieczeństwo dla całości i trwałości państwa, jakie wyniknąć musiało ze społecznej rozterki między chłopstwem a szlachtą.

Obydwoh wielkich monarchów, tak Bolesława Chrobrego jak i Kazimierza W., cechuje bystre pojęcie rzeczy, że przewaga szlachty nad ludem niewróży państwu szczęścia.

Bolesław był nadto zajęty przeprowadzeniem spójności między pojedynczymi krajami, z których mocarstwo polskie stwarzał, mechanicznie, powiedzielibyśmy, ich spajaniem i zewnętrznym tak ubezpieczaniem jako i rozszerzaniem potęgi, ażeby mógł się zająć wewnętrzną regulacją stosunków społecznych. Niemniej przeto był on baczny na to. Piszą o nim, że objeżdżając z dwunastu starcami (sędziwymi, sędziami, graven) kraj, aby sądzić spory i zbrodnie, dawał przed innymi zawsze pierwszeństwo żałobom ludzi z gminu pochodzących, biednych a uciśnionych. Nie zapobiegł on jednakże w drodze ustawodawczej przewadze możnych. Zresztą jak rządy Bolesława noszą jeszcze na sobie cechę starożytną i przypominają wielce rządy Cyrusa, tak też i naród nie był jeszcze wtedy tak mocno, jak za Kazimierza, zakażony zwyczajami i przykładami zachodniego feudalizmu, z którego w Polsce zamiast feudalizmu wyrodziło się szlacheckie możnowładztwo, w sobie demokratyczne i przeto tem silniejsze, dla

innych warstw społeczeństwa zaś, a wreszcie i dla królów samych, uciążliwe swoją przewagą i butą. Bolesław to widział, i chociaż przyczynił się sam poczęści do rozwinięcia tego stosunku przez podniecanie ducha wojennego i rycerskiego, to jednak przeczuwał niefortunne następstwa tego społecznego zбочenia.

Kazimierz W. zastał już rzecz wzrosłą do tego stopnia, że uznał potrzebę pracowania nad ukróceniem przewagi szlachectwa.

Nie zdołał Kazimierz W. zapobiedz raz na zawsze przewadze jednej klasy społecznej nad drugą, co zresztą było wadą wszelkich państw w Europie, i to w nierównie wyższym stopniu niż w Polsce.

Uporządkował pomimo to wielce prawne stosunki, i położył podwalinę do przyszłego prawodawstwa polskiego, jako też i do konstytucyjnych swobód. Pierwsze uczynił przez nadanie tak zwanego statutu wiślickiego, drugie przez przyznanie sejmom, które we wszystkich ważniejszych sprawach zwoływał, nowych praw.

Nie pozostał też za poprzednikami swoimi Łokietkiem i Chrobrym w rozszerzeniu i wzmocnieniu potęgi Polski.

Jak Łokietkowi słusznie przypisują historycy odrodzenie Polski, tak niemniej słusznie Kazimierzowi W. należy przypisać zasługę odbudowania jej potęgi. Tamten ją wskrzesił z niemocy, ten ją pokrzepił w nowe siły.

* * *

Na dzień 24. kwietnia przypada rocznica śmierci Władysława Jagiełły, który w tym dniu r. 1433 w Grodku życia dokonał.

Po sumiennych i wyczerpujących pracach, jakie istnieją o Jagielle, a po tak artystycznie doskonałej, jaką jest praca Karola Szajnochy, nie pozostaje nam nic, jak zapisać dzień 24. kwietnia jako rocznicę śmierci wielkiego króla, który dokonał zamierzonego przez Chrobrego celu, t. j. utworzenia z Polski mocarstwa, europejskie mającego znaczenie.

Drugiej części posłannictwa Polski, stania się ogniskiem Słowiańszczyzny, które także pojmował i do którego zdążył Bolesław, nie podjął Jagiełło, i bynajmniej się temu nie dziwimy.

Wewnętrzne ustalanie się Polski, zrastanie się składowych tejże części w jeden naród i w jednolite mocarstwo, było koniecznym procesem organicznym, który Polska odbyć musiała, nim mogła przystąpić do spełnienia swego zadania wobec reszty Słowiańszczyzny.

Z tą wewnętrzną pracą łączyła się walka zewnętrzna przeciwko złowrogiej potędze żywiołu niemieckiego, którego przedstawicielem było przez Polskę samą do własnych jej dziedzin znęcone krzyżactwo.

Tak na jednej jak na drugiej drodze zdziałał Jagiełło tak wiele, że mógł spokojnie opuścić ten żywot,

będąc pewnym, że synom swoim pozostawi tron ubezpieczony, jakkolwiek odumierając ich jeszcze dziećmi, nie mógł być pewnym, czy dorosną wielkiemu zadaniu, jakie im do spełnienia przekazał.

Następne dzieje okazują, że mógł i w tej mierze być spokojnym.

Nie tu miejsce rozpisywać się nad dziejami Jagiellończyków. Szukając atoli w dziejach chwil, w których zaszły stanowcze dla losów narodu wypadki, napotykamy już w krótkim czasie po śmierci Jagiełły (24. kwietnia 1433) znowu dzień pełen znaczenia, przypadający w kwietniu.

Dzień 4. kwietnia 1500 zastał trzech Jagiellonów, wnuków Jagiełły, synów Kazimierza Jagiellończyka, uczniów Jana Długosza, na czterech tronach sąsiednich i węzłem braterstwa, nie tylko między królami, ale i między narodami, z sobą połączonych.

Władysław dzierzył berło w Czechach i Węgrzech, Aleksander był z woli narodu W. księciem Litewskim, Jan Olbracht zaś objął po ojcu królewską koronę w Polsce.

Istniało między temi mocarstwami przymierze, które zostało dnia 4. kwietnia 1500 odnowione. Takie skojarzenie tych mocarstw, pod panowaniem jednej dynastii zostających, było jakoby skazówką Opatrzności, jakie stanowisko mają one wspólnie i wzajemnie zająć w Europie, a jakie mianowicie posłannictwo jest Polski. Atoli nie znalazł się nikt, ktoby tę wielką myśl doprowadził do czynu: utworzenia średnioeuropejskiego państwa z sfederowanych Czechów, Polski i Węgrów.

Pozostało to zadaniem przyszłości, tymczasem Polska, oddalająca się od swojej misji w Słowiańszczyźnie, chyliła się ku upadkowi.

Odtąd nie mamy aż do podziału Polski żadnych wspomnień, przypadających na kwiecień, do zapisania, ktoreby przypominały zdarzenia stanowiące epokę, lub przynajmniej wskazywały na poczęcie się myśli znaczącej dla przyszłości.

Dnia 19. kwietnia 1773 został otworzony sejm tak zwany ekstraordynaryjny pod laską zdrajcy Adama Ponińskiego, sejm, który miał sankcyonować i sankcyonował pierwszy podział Polski, gdzie zaszła owa chwila, uwieczniona pędzlem Jana Matejki, chwila, gdzie zrozpaczony patriotyzm Rejtana stawił bezsilny opór zdradzieckim większości uchwałom.

We dwadzieścia lat po tym pierwszym pogrzebie wolności narodowej d. 9. kwietnia 1793 został drugi podział Polski aktem urzędowym uznany, będąc w czynie już w zeszłym miesiącu dokonany. Aby do nieszczęść i gwałtu dodać jeszcze sromotę i urąganie, wskrzeszono Radę nieustającą d. 21. kwietnia 1793, a d. 22. kwietnia 1793 zjechał król do Grodna, aby przewodniczyć sejmowi, który miał sankcyonować i sankcyonował rzeczywiście drugi podział kraju.

W następnym roku 1794 zaszły czyny rozpaczliwego a bohaterskiego podźwigu narodu, pierwsze powstanie, którem się zaczął szereg walk narodowych dla odzyskania niepodległości. Najważniejsze z tych czynów przypadają znowu w kwietniu.

4. kwietnia 1794 bitwa pod Racławicami wprowadziła po raz pierwszy chłopą polskiego w walkę za ojczyznę. Nastąpiły w tymże samym miesiącu powstania ludu miejskiego

d. 17. kwietnia 1794 w Warszawie, d. 23. kwietnia 1794 w Wilnie.

Pozostaje jeszcze najsmutniejsza rocznica dla Polski, rocznica dnia, w którym Moskwa zadała ostatni cios Polsce przez zajęcie Kurlandi, t. j. d. 26. kwietnia 1796, zajmwszy już poprzednio Litwę.

Jestto ostatnia z rocznic rozbiorowych, przypadających na miesiąc kwiecień.

Kronika literacka i artystyczna.

Lwów, w maju 1873.

(Metamorfoza. — Wypadki bieżące. — Odroczenie wystawy obrazów. — Nowe sztuki na scenie. — Repertuar zaczyna być polskim. — Wydawnictwa Szlossera Dziejów powszechnych i Encyklopedyi Sznajdera.)

Pełne słońca i świeżości dni ostatnie zieloną kortyną zamknęły już za nami sezon zimowy i powiodły umysł w świat zewnętrzny, ku błękitom i rozkwitom. W miarę rozwijania się ostatnich, tracą urok rzęsiście oświetlone salony, kominkowy ogień już nie zachęca do kontemplacji, harmonią szarych godzin rozwiały promienie słoneczne; natomiast żyjemy wrażeniami wiosny, ile się da za domem, wśród zieleni i zapachów młodej przyrody. Stara to metamorfoza usposobień, lecz zawsze świeża, bo naturalna.

Dwa fakta wielkiej doniosłości, które spełniły się w pierwszych dniach bieżącego miesiąca, zajmują jednak właśnie, obok wiosny, uwagę naszą: otwarcie wystawy wiedeńskiej i akademii polskiej w Krakowie. O pierwszym, które zresztą pośrednio tylko nas dotyczy, dowiedzą się czytelnicy ze sprawozdania specjalnego naszego korespondenta; z Krakowa zaś dotychczas doszedł nas tylko program uroczystości, oraz lista znakomości, które w niej udział wzięły. Arcyksiążę Karol Ludwik, brat cesarski, jako protektor akademii osobiście zagał pierwsze jej zebranie. Przemawiać miał imieniem instytutu dr. Majer. Kto mógł, pospieszył do Krakowa, by świadkiem być tej inauguracji; my życzymy młodej akademii najlepszego powodzenia w pracy nad rozszerzeniem wiedzy w kraju, wśród którego powstała, a gorliwość w pełnieniu wytkniętych zadań, oraz umiarkowanie i wyrozumiałość w stosunkach z opinią publiczną dadzą jej podstawę po temu, gdy przeciwnie koteryjność i oglądanie się na względy osobiste spaczą piękną tę instytucją w samym zarodzie. Łatwo zresztą pojąć, że wszelkie tego rodzaju początki trudne są i obfitujące w sposobność do uczynienia fałszywych kroków; zaprzeczyć się też nie da fakt, że wstępne czynności akademii polskiej nie zadowolniły opinii, przeciwnie: wykazały wielką niemoc i rozprężenie w sferze, będącej wyrazem inteligencji kraju; w dalszym rozwoju wszakże może akademia zle, jakie się zakradło, naprawić jeszcze.

Wystawa wiedeńska zapewne sprawiła, że zapowiedziana na dzień 1. maja wystawa obrazów naszego Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych nie przyszła do skutku. Artyści bardzo

mało tym razem nadsyłają dzieł swoich, koniecznym więc okazało się odroczenie wystawy. Należy wnosić, że tem dzielniej sztuka polska wystąpi na wystawie powszechnej, dokąd posłali swe utwory wszyscy najcelniejsi nasi artyści. Pan Leopolski spieszy jeszcze z wykończeniem swej wielkiej kompozycji: „Prymasa Józefa Komorowskiego“, która godnie stanąć będzie mogła obok dzieł innych mistrzów naszych w obliczu reprezentowanej na wystawie cywilizacji nowożytnej.

Tak wieczorki Towarzystwa muzycznego jak i odczyty publiczne odbywają się jeszcze w bieżących dniach, dopełniając pierwotnego swego programu. Pani Felicja Wasilewska w ostatnich tygodniach mówiła „o Szekspirze“, i przeprowadziła rozbiór najwybitniejszych dzieł arcyministra sceny. Odczyty te zaliczamy do najświetniejszych ostatniego sezonu, nie brakło im też zastępu słuchaczy. — Mieliśmy też parę odczytów „O sposobie łatwego uczenia się historii“ pana Żaby, który stworzył metodę odrębną tej nauki i uznanie dla niej pozyskał już za granicą, gdzie długie lata przebywał i pracował.

W teatrach lwowskim i krakowskim przedstawiono ostatnimi czasy nową komedią Jana Aleksandra hr. Fredry p. t. „Obce żywioły“, która pochlebnie przyjętą została przez krytykę i publiczność. W istocie, najnowszy utwór autora „Drzymki pana Prospera“ dowodzi postępu jego w kompozycji dramatycznej, i tak co do osnowy swej jak i przeprowadzenia lepszy jest od dawniejszych. „Obce żywioły“ zawierają wybitną tendencją społeczną, takowa wszakże przeprowadzona jest w typach, do których cały świat się przyznać może, charakterystycznie polskiego nic ta komedia w sobie nie zawiera. — W teatrze krakowskim odegrano też niedawno po raz pierwszy tragedią Adama Asnyka „Cola Rienzi“ — z wielkim powodzeniem. Na scenie lwowskiej utwór ten przedstawiony będzie dnia 14. b. m.

Nowemu zarządowi teatralnemu oddać trzeba sprawiedliwość, że uwzględniła przy układaniu repertoaru sztuki oryginalne polskie. Świeżo widzieliśmy na scenie „Barbarę Radziwiłłównę“ Felińskiego i „Zemstę“ Fredry ojca. Artyści ze swej strony więcej też obecnie dokładają staranności do tych reprezentacji, niż się to im zdarzało dawniej. Panna Deryng i pan Woleński bardzo pięknie grali w „Barbarze“, pan Ładnowski w roli cześnika w „Zemście“ był znakomity, a zadanie miał tem trudniejsze, że tradycya ś. p. Nowakowskiego w tej

roli żywo się w nas jeszcze dochowuje. Na uznanie zasługuje również gra p. Zboińskiego w roli Papkina w „Zemście“ — gra pełna szczerego humoru a przytem umiarkowania, które niepospolite stanowi dla artysty zadanie w przedstawieniu postaci, będącej w sobie samej karykaturą. — Z nowości, oprócz wspomnianej tragedyi Asnyka, zapowiedziany mamy dramat z francuskiego „Hrabina de Somerive“ podobno p. Barriere, tłumaczony przez Tadeusza Czapelskiego, a osnuty na tle wielkiej katastrofy francuskiej z r. 1870.

Wydawnictwo „Biblioteki historycznej“ ukończyło właśnie drugą seryą zeszytów „Dziejów Schlossera.“ Ogółem więc wyszło dotąd zeszytów 12. Ciekawą jest statystyka odbytu wydawnictwa tego, którą czerpiemy z listy prenumerantów, załączonych do ostatnich zeszytów. Pokazuje się, że Galicya — ta osławiona na punkcie ruchu książkowego Galicya — dostarczyła sama „Bibliotece historycznej“ nierównie więcej prenumeratorów, niż wszystkie inne dzielnice razem wzięte, gdyż około ośmiuset! Prawda, że czysty dochód z wydawnictwa przeznaczony został na rzecz oświaty ludowej, co dla niejednego z czytelników mogło być główną pobudką zaprenumerowania

„Biblioteki“; fakt wszakże zdaniem naszym nie przez to nie traci z swego uroku, i pozostanie chlubnym świadectwem dla inteligencji galicyjskiej. — Co do wydawnictwa samego mieliśmy tylko do nadmienienia, iż bardzo byłaby pożądaną dokładniejsza korekta „Biblioteki“, ile że dzieło takie pomnikowe zasługuje na wszelką sumiennność i staranność.

Wyszedł 6. zeszyt „Encyklopedyi do krajoznawstwa Galicyi“, zebranej i ułożonej przez Antoniego Sznajdera, a wydawanej kosztem funduszu krajowego. Już kilkakrotnie wspominaliśmy o tem olbrzymim dziele i wyrażali przekonanie, że znakomite usługi oddać ono może pragnącym bliżej poznać kraj, w którym żyją i działają. Nie wątpimy też, że pragnących tego znajdzie się jeszcze dość między nami, i że „Encyklopedya“ p. Sznajdera rozejdzie się w licznych egzemplarzach. Przeszłość i pamiętki każdej miejscowości, każdego niemal zakątka Galicyi, oraz stosunki położenia i własności, bogactwa ziemi i t. p. przedstawione są w dziele tem z sumiennością, której najlepszą rękojmą jest kilkudziesięcioletnia praca p. Sznajdera nad zebraniem materyałów do takowego, praca ciężka, pełna ofiar i abnegacyi autora.

B. K.

ZE ŚWIATA.

(„Do moich Wiedeńczyków nie pozwolę strzelać!“). Wielu sądzi, a nawet dzieła historyczne utrzymują, jakoby dobroduszny cesarz Ferdynand wyrzekł te pamiętne dla Wiedeńczyków słowa podczas rewolucyi marcowej w r. 1848; tymczasem stało się to o kilka lat pierwej. Dzisiejszy Wiedeńczyk nie uwierzyłby może, że wówczas zabronione było jak najmocniej palenie fajki lub sigara w mieście, „by nie zapalić bruku“, jak głosił dowcip wiedeński. Ale także i na przedmieściach musiano przechodząc obok warty wstrzymywać się od palenia, gdyż inaczej krzyczał zaraz żołnierz lub policyant: „Fajka z gęby!“ albo: „Sigaro z pyska!“ A można było jeszcze nazwać się szczęśliwym, jeżeli zarazem nie wytrącono palącemu z gęby fajki lub sigara. Można sobie wyobrazić, jak dalece to brutalne postępowanie musiało psuć krew Wiedeńczykom; używali też oni rozmaitych sposobów odwetu, a szczególnie młodzież drażniła bez ustanku warty, przechadzając się z fajką lub sigarem, ale w takiej odległości, żeby służbista ręka żołnierza lub policyanta nie mogła ich dosięgnąć, a na brutalne wezwanie: „Fajka z pyska!“ odpowiadali grzecznościami wiedeńskimi, których nie możnaby na głos powtórzyć. O tych dokuczaniach doniesiono komendantowi miasta, a ten wpadłszy w zapał wojenny, wydał rozkaz, ażeby warta strzelała do każdego, ktoby nie usłuchał zakazu palenia. I stała się rzecz niepodobna do uwierzenia. Na moście, wiodącym z Neustaedterkanal na Landstrasse, gdzie istotnie sąsiedztwo drewnianych barak usprawiedliwiałał zakaz palenia, strzelano kilkakrotnie do osób cywilnych. Szczęściem nie zraniono nikogo, ale mimo to wzburzyło się całe miasto, i wiadomość o tem doszła także do dworu. Cesarz Ferdynand kazał natychmiast przywołać prezydenta nadwornej rady wojennej i zapytał go, czy to prawda, co mówią. Prezydent starał się usprawiedliwić komendanta miasta i dowodził, że tego wy-

magają koniecznie względy strategiczne, taktyczne, wojskowe i policyjne, żeby osoba cywilna, przechodząc obok warty, wyjmowała z ust fajkę lub sigaro.

— „To mi wszystko jedno“ — odrzekł cesarz Ferdynand — „Powiedz pan komendantowi miasta, że rozkaz strzelania musi być odwołany. Do moich Wiedeńczyków nie pozwolę strzelać!“

— „Ależ Najjaśn. Panie“ — bąknął prezydent — „komendant miasta—“

— „Komendant miasta musi słuchać. Ja tu jestem panem, nie on. Do moich Wiedeńczyków nie pozwolę strzelać, i basta!“
Prezydent odszedł, i już nie strzelano więcej.

(Księżniczka modniarka). Księżę Piotr Bonaparte, który przed samym upadkiem cesarstwa francuzkiego swoją sprawą z dziennikarzem Noirem tak haniebnie się odznaczył, pobierał za cesarstwa apanaż w sumie 100,000 franków. Ponieważ dochód ten musiał naturalnie odpaść, a księżę nie posiada zresztą żadnego majątku, i nie jest też w stanie własną czynnością zapewnić sobie utrzymania, przeto byłoby położenie jego bardzo smutne, gdyby szczęśliwy los! nie był go obdarzył bardzo zręczną i poradną małżonką. Księżna Bonaparte, w prawdzie dama nie księżęcej krwi, lecz mieszczańskiego pochodzenia, otworzyła w Londynie, przy ulicy New Bont Street 91, zakład modniarski pod firmą N. P. Bonaparte, który przynosi jej piękny dochód i utrzymuje całą familią. Księżna zatrudnia w nim 20 robotnic. Wieczorem powraca do swego małego domku w Park Lano, i zajmuje się wychowaniem swoich dwojga dzieci, czternastoletniego chłopca imieniem Rolanda, i młodszej dziewczynki imieniem Jeanne. Co miesiąca jeździ księżna z dziećmi swemi do Lütich, w którego okolicy mieszka na wsi jej mąż, nie mogący znieść klimatu angielskiego. Gwałtowne cierpienie reumatyczne nie dozwoliło mu być obecnym na pogrzebie Napoleona III., ale

Księżna brała udział w uroczystościach żałobnych i — jak zapewnia paryski „Figaro“ — znalazła w Camden-House jak najyezliczwsze przyjęcie. Jeżeli to prawda, dała tem excersarzowa dowód zdrowego rozsądku, który jednak trudno pogodzić z postępowaniem jej stronnictwa, usiłującego wszelkimi środkami podkopać zakład księżny Bonaparte.

(Tajemnica oceanu). Z Gibraltaru nadeszła wiadomość, że temi czasy okręt „Dei Gracia“ znalazł na otwartem morzu opuszczoną brygantynę „Mary Celeste“, i przywiózł ją do Gibraltaru. Stan, w jakim znajdował się ten statek, przypominał poniekąd podanie o „Latającym Holendrze“; tylko że na tamtym były jakieś widma, a na pokładzie „Mary Celeste“ nie znaleziono żywej duszy, chociaż sam statek znajdował się w jak najlepszym stanie. Ładunek był nietknięty, i wiele kosztowności i sprzętów wielkiej wartości znaleziono na statku. Widocznie nie zaskoczyła nawet burza tego statku amerykańskiego, gdyż na stołach leżały rozmaite drobiazgi w największym porządku, a na kilku brzytwach nie było ani śladu rdzy. Bliższe poszukiwania każą się domyślać, że na pokładzie musiała się znajdować kobieta z dziećciem; nadto znaleziono miecz, który zdawał się być otarty z krwawych plam. Kapitanem tego statku był niejaki B. G. Briggs, którego znano w Gibraltarze jako porządnego człowieka. Jestto więc zagadka niepodobna do rozwiązania. Domyślają się tylko, że załoga musiała się zbuntować, zabić kapitana i umknąć.

(Olbrzymie kroniki). Chiński prezydent ministerstwa, książę Kong, i urzędnicy jego doręczyli cesarzowi dwa dzieła historyczne. Jedno zawiera opisanie rewolucji Taipingów, która rozpoczęła się w trzydziestym roku panowania cesarza Tao-Kuang, t. j. w roku 1850, i dopiero w czwartym roku panowania cesarza Tung-tschí, t. j. w roku 1865, zupełnie przytłumioną została. To dzieło obejmuje tylko 520, mówię pięćset dwadzieścia tomów. Drugie dzieło jestto historia powstania Nien-fejów, które wybuchło w pierwszym roku panowania Hien-funga i trwało do r. 1868. Autorowie widocznie się ograniczali, gdyż skończyło się na 320 tomach. Cesarski restrykt wyraża się z wielkiem uznaniem o tych pracach umięjętnych, a autorowie uzyskali w nagrodę wyższą rangę. Książę Kong, który był niejako głównym redaktorem tych dzieł, postąpił nawet o dwa stopnie naraz i otrzymał tablicę honorową.

(Relikwie w Eskuryalu pod Madrytem). Żaden klasztor i żaden pałac na świecie nie jest pewnie tak bogatym w relikwie, jak słynący pod nazwą Escorial, a niedawno spalony po części klasztor i połączony z nim pałac królewski. Potrzebaby grubego tomu na to, gdyby chciano spisać wszystkie, znajdujące się tam znakomite zabytki dawnych czasów, gdyż ogólna ich liczba wynosi 7422 sztuk. Ponury ten gmach, zawdzięczający początek swój ślubowi Filipa IIgo, uczynionemu po zwycięztwie jego odniesionem pod St. Quentin w r. 1557, możnaby nazwać olbrzymim grobowcem, gdyż spoczywa w jego murach 12 całkowitych zwłok osób świętych, a nadto 144 czaszek, 306 znacznych części zwłok Świętych, a 687 mniejszych relikwii, które mają być autentyczne. Jest pomiędzy niemi kilka kawalków szaty, którą miał na sobie Zbawiciel na górze Oliwnej, a nawet kilka Jego włosów. Są tam drzazgi

z żłobu Betlejemskiego, w którym spoczywało Dzieciątko Jezus, cząstka jednego z darów, złożonych przez mędrców ze wschodu, a wreszcie — że nie wspomniemy już o innych — zwłoki jednego z dzieci, wymordowanych w Betlejem, i kielich, z którego miał pić Chrystus na godach w Kanie Galilejskiej. Obok tych zabytków religijnych, chociaż może niekoniecznie prawdziwych, mieści w sobie ten klasztor jeszcze inne, niewątpliwe pamiątki świetnej przeszłości Hiszpanii. Są to zwłoki królów hiszpańskich, które zamknięte w niszach ściany porfirowej, o dwa kroki od zakrystyi, zapełniają kruchą kościelną. Ten wielki grobowiec monarchów ma dumny napis, „Pantheon“. Tu obok Filipa II. i III. spoczywa także jeden z największych monarchów europejskich, Karol V., którego mumia przetrwała znikome dzieła jego następców. Jego zwłoki, okryte płaszczem adamaszkowym, są jeszcze dobrze zachowane, a na głowie jego spoczywa złotem tkaną czapeczka, która po 300 latach nierównie lepiej się zachowała, niż świadczący o znikomości wszelkich rzeczy ziemskich trup najpotężniejszego niegdyś władcy świata, w którego państwie nie zachodziło słońce!

(Statystyka much). Chociaż statystyka jest stosunkowo młodą jeszcze umięjętnością, i już z natury rzeczy nie mogą wchodzić w jej zakres zabawki i dziwactwa, zaczyna już przecież i do niej wkradać się żywioł komiczny, i oto spotykamy się już w dziennikach nawet ze statystyką much. Pewien badacz musiego rodu miał po długich i mozolnych próbach, czynionych wcale nie na żarty, wykryć następujący fakt statystyczny: Zamknął on 3000 much w pokoju, w którym prócz głowy cukru nie było nic innego do polizania. W przeciągu sześciu dni znikła ta głowa cukru bez śladu. Z tego się pokazuje — powiada ów wielki mędrzec — że jedna zdrowa mucha potrzebuje na cztery tygodnie trzynastu setnych części funta cukru, co się równa wartości ośmiu feników. Przypuśćmy — rozumuje dalej ów badacz natury — że w ciągu lata uwija się w każdym większym hotelu w przecięciu 13 milionów much, a pożywienie każdej muchy kosztuje 2 srebrne grosze, tedy musi właściciel hotelu w ciągu lata stracić na utrzymanie much około 87.000 talarów! To nader komiczne obliczenie zdaje się być najprostszym i najlepszym komentarzem bezwstydnego zaprawdę zdzierstwa po niektórych hotelach.

(Intratna tabakierka). Sławny kompozytor Carafa, który, jak wiadomo, przy końcu życia swego nie był wcale bogatym, posiadał bardzo intratną tabakierkę. Był to upominek, który jeszcze przed 30tu laty ofiarował mu baron Rotschild w dowód przyjaźni na imieniny jego. Ale nie upłynęło nawet 24 godzin, a tabakierka wróciła już z rąk artysty za 1500 franków do tego samego jubilera, u którego była kupiona. W rok potem ofiarował mu Rotschild znowu tę samą tabakierkę, a Carafa poniósł ją równie prędko do jubilera i wziął za nią swoje 1500 franków. Ten interes prowadzili obaj aż do śmierci Rotschilda, — ale i potem jeszcze nie ustał on, gdyż synowie Rotschilda uważali to za rodzaj tradycyi familijnej, aż wreszcie i drugi spółnik, Carafa, odszedł tam, gdzie nie potrzeba już ani tabakierki ani pieniędzy.

Nowe książki.

Serafina, napisał Henryk Lisicki. W Krakowie w drukarni Leona Paszkowskiego. 1873.

Nie pierwsza to powieść tego autora, z którą w ciągu kilkunastu lat ostatnich się spotykamy. Naliczyć ich można kilka. Wszystkie przed ukazaniem się na widok publiczny, figurowały poprzednio w „Przeglądzie Polskim“, i odsłaniały tu i ówdzie pojęcia i zasady właściwe temu zasłużonemu organowi. — Mniejsza jednak o tę ich cechę polityczną, przebijającą się nawet i w powieści, o której mówimy, w jednym z epizodów końcowych; w czem innym bowiem osobiwy one mają charakter, na który tu uwagę zwrócić należy. Wszystkie te powieści brane są z owej sfery, którą wyższym światem zgodzono się nazywać. Jeżeli pan Lisicki przedsięwziął zostać apologetą tego świata w powieściach swoich, w takim razie smutną mu oddaje przysługę. — Tak bowiem „Kometa“, tak „Kosze i Koszyki“, tak wreszcie i ta ostatnia powieść, są żywo dyalogowanymi skandalami. Autor nie cofa się przed najdrażliwszymi sytuacjami i zawsze znajduje stronę, z której najrzęczniejszą do nich przystąpić można. Zręczności pod tym względem i odwagi odmówić mu nie podobna. Zręczność ta nawet niekiedy idzie tak daleko, że i gaza jest i decorum pewne, a jednakże grzeszek powabny pod spodem widać doskonale. Te omówienia i figle lafontenowskie mają nawet pewien urok dla stylisty, i uchodzić mogą za gatunek powieściopisarskiego talentu — chociaż powieści p. Lisickiego jeszcze szkodliwszymi czynią. Na „Serafinie“ za to moralność nie ucierpi. Wyzywam bowiem najbardziej świadomą ciekawość, umysł najmocniej oswojony z niedomówieniami, omówieniami i tym podobnymi subtelnościami, — ażeby zrozumiały, o co właściwie chodzi w tej tomowej gawędce. — Bohaterka jej jest maleńkim sfinksem, — zagadką zaciemnioną, z prawdziwą kokieterią artystyczną. Znając autora jednakże, i od wiadomych do niewiadomych idąc, odważamy się domyślać, że na dnie tego opowiadania, pod kwiatami opisowości, arabeskami stylu, studjami psychologicznymi na małą skalę, znajduje się temat — osobiwy temat! Ale jak go sformułować. Tu sęk i olbrzymi. Spróbujmy jednak. Bohaterka powieści niepróżno imię Serafiny nosi. Nie jest ona bowiem kobietą, jak inne pospolite śmiertelnice, — ale pół archańskią istotą. — Od początku aż do końca powieści jest ona przedmiotem powszechnej adoracji — sama nawet kocha się, i gwałtownie. Ale... Ale każda z tych namiętności rozbija się o skrupuł. Serafina chce wyjść za mąż za pięknego Apollona — ale z warunkiem, że pozwoli jej pozostać Serafiną, — wychodzi za rozmiękczonego komfortem jej życia — Edwarda — ale z tem samem wytrwałem postanowieniem. Dla czego?... Wspomnienie jakieś, — może męża kilkudzinnego — Sir Archibalda, idioty — może wotum jakie, bo w tym świecie i to bywa. Bóg wie! Jednakże nie dotrzymuje do końca i pragnie wreszcie zostać żoną — swojego męża. Dla czego ta zmiana? Głęboka tajemnica. — A jednakże wokoło tej i poprzedniej tajemnicy grupują się

wszystkie interesa powieści — o ten skrupuł rozbija się kilku konkurentów z prawnymi lub nieprawnymi zamiarami — ten pytajnik (!) jest duszą utworu. Takie nam przyszło tłumaczenie do myśli przy najlepszych chęciach i najmożliwszych studiach nad tą ciekawą, budującą, współczesną powieścią. Czyśmy jednak dobrze trafili, czy też, broń Boże, naprowadzeni na złe myśli, poprzednimi pracami p. Lisickiego, imaginacyi daliśmy się unieść — nie jesteśmy pewni. W tym ostatnim razie, zaklinamy, niechaj nikt hipotezą naszą się nie gorszy, — ani, od czego Boże zachowaj, podstawionego tematu, mimo jego powabu, użyć się i waży. — Byłby to ciężki grzech na naszym sumieniu i odpowiedzialnem piórze!

Nemolaka. Pism Michała Czajkowskiego tom XI. Biblioteka pisarzy polskich tom LXV. Lipsk. F. A. Brockhaus 1873.

Jakim sposobem do szanownego i tak ulubionego narodowi Wydawnictwa Brockhousa zamieszał się ten pamflet polityczny — nie pojmujemy. Przypisać to chyba potrzeba temu, że praca ta wydrukowaną była przed przerażającą apostazją jej autora — haniebnej pamięci — Sadyka Paszy, i że Wydawnictwo nieświadome jej tendencji — na wiarę tytułu znakomitych dawniejszych prac Czajkowskiego, umieszczonych w lipskim zbiorze, — puściło na świat polski ten utwór. „Nemolaka“ jest owocem upadku — i moralnego i narodowego i literackiego — swojego autora. Tak to wszystko w żelazno-logicznym związku się trzyma. Ze skażonego gruntu nie wyjdzie zdrowe ziarno.

„Nemolaka“ ma zawierać w sobie dzieje „Iwana Michajłowicza Skorupadzkiego“, potomka hetmana Ukrainy, — który po tysięcznych przygodach osiadł wreszcie na „Dobrudzy“ pomiędzy kozakami, jako prosty brat kozak i „nemolaka“ — sekciarz. Mają to być dzieje jego i jego familii. Tymczasem na tle smutnej opowieści o losach córki „Nemolaki“, Praxedy, i jej narzeczonego Zwizdy, namalowane jaskrawymi barwami obrazy, podyktowane przez nienawiść do narodu i służalstwo dla cara. Tkanka powieściowa jest tylko pretekstem. Zaniedbana też straszliwie miejscami, a jeden z głównych jej aktorów Zwizda, — typ wytarty i spowszedniały bałaguly i Don Juana, — napróżno pozłacany fałszywymi błyszczkami poezji i fantazji kozackiej, ani sympaty — ani żalu — ani zajęcia nie budzi. Za to część polemiczna — a raczej paszkwilarska opracowana świetnie. — Wszystka pianą wściekłości, ambicyi, nienawiści prywatnych, która wzbierała przez lat tyle w sercu Czajkowskiego — wyrzucona teraz — przyschła na tych stronicach. Tu i ówdzie pełnemi garściami rzucone błoto na ostatnie powstanie nasze — kilka postaci z niego w karykatury wstrętne przemienionych — brud i błoto na każdym prawie polskiem imieniu — a Biały Car egzaltowany pod niebiosą. Z jakże dziecinnem i nieudalnym wysileniem przedrzeźnia się stary nasz ideał — pseudonymom z powstania — z jakąż haniebną, złą wiarą paroduje i ośmie-

sza znany pochód Miłkowskiego przez Rumunią i starcie się jego, którego uniknąć nie można było, niestety, z Rumunami. Epizod ten, który niewątpliwie stanowi jedną z najpiękniejszych kart w eposie wojennej powstania — na błazeństwo pod piórem Czajkowskiego wychodzi. Przerywamy dalsze cytaty wstętem powodowani. Nie potrzeba, sądzimy, dodawać, że większa część osób w tej powieści są to figury alegoryczne, i że pod przejrzystą tkanką dojrzeć można Sadyka Paszę, oraz wszy-

stkich jego przyjaciół i wrogów. Czytając te zabrudzone karty, przypomina się stara Tacytowska maxyma: „Oderint quem laeserunt“. Stary „Hetman Ukrainy“ sili się usprawiedliwić przed sobą i przed światem niską zdradę, której się dopuścił. Zagusza sam siebie. Chce błoto ze siebie strząsnąć na innych i sądzi, że się oczyści tym sposobem. Na próżno! „Ta się plama nie wypierze!“

W. O.



Przeprawa izraelitów przez Czerwone morze.

Dandy z cwikiem (zastępując przejście między dwiema kałużami — do przyjaciela): A, wiesz, bardzo ciekawy, jak te dwie nadobne córki Izraela przeprawią się przez to Czerwone morze?
 Jedna z izraelitek: Zupełnie tak, jak niegdyś Mojżesz z swoim ludem: bałwany się rozstąpią, a my przejdziemy suchą nogą.

Pocztą »Strzechy.«

Panu W. T. Wierszyk Pański, dość gładko zresztą napisany i zdradzający humor, nie kwalifikuje się do „Strzechy.“
 Panu E. w „Przeglądzie lwowskim.“ Czy pamiętasz pan wiersz „Chochlika“ z roku 1871, którego jedna zwrotka brzmi mniej więcej tak:

„O sancte pater Grobianus!
 „O apostołe mój wielki!
 „Naucz mię, jak to w Paryżu
 „Tanio kupować mebelki!“

Księgarnia wydawcy „Strzechy“, której pan sposobem oszczerczym zarzucaz kolporteryą książek ewangelicznych, powołując się na powyższy wierszyk „Chochlika“, zapytuje pana: co w oczach pańskich jest uczciwszem: czy przedsiębiorstwo sprzedaży książek, choćby japońskich i hotentockich, czyli też takie przedsiębiorstwo mebelkowe, o jakim napisał „Chochlik?“